

WIADOMOŚCI MISYJNE

INFORMATOR SEKRETARIATU MISYJNEGO
ZGROMADZENIA KSIĘŻY MISJONARZY

Nr 4(30) 2013
1(31) 2014

ISSN 2083-0823



znajdź nas na
WIM facebook

DRODZY MISJONARZE I PRZYJACIELE MISJI!

Z wielką radością oddajemy do Waszych rąk nowy numer „Wiadomości Misyjnych” – tym bardziej, że mamy za sobą bardzo długą przerwę w jego wydawaniu (za którą niniejszym serdecznie przepraszamy). W tak zwanym „międzyczasie” na naszych wincentyńskich misjach wydarzyło się tak wiele, że niecierpliwie czekamy, by podzielić się z Wami tymi wszystkimi nowinami. Ci z Was, którzy śledzą misyjne życie Polskiej Prowincji Zgromadzenia Misji za pomocą nowoczesnych środków informatycznych, doskonale je zresztą znają. Tym niemniej kochany, stary papier zasługuje na to, by właśnie na nim uwiecznić jak najpiękniejszymi zgłoskami tętniące niezwykle dynamicznie życie naszych misji – i naszych misjonarzy.

Będzie więc ów – podwójny – numer „Wiadomości Misyjnych” poświęcony podsumowaniu tego, co działo się w minionym roku w dwóch młodych misjach: w Papui-Nowej Gwineji i w Beninie, a także temu, co wydarzyło się przez cały ów rok w życiu jednego z naszych misjonarzy pracującego na „starym” Madagaskarze. Te trzy, jakże różne i oddalone od siebie geograficznie kraje, ich rzeczywistość, ich problemy i nadzieje, będą przewijały się przez strony niniejszego numeru, który prawie w całości stanie się siłą rzeczy jedną wielką relacją z misyjnej działalności naszego Zgromadzenia. Relacją, którą – jak sami się o tym przekonacie – czyta się jak dobrą powieść sensacyjną: z wypiekami na twarzy.

Na koniec przyjmijcie, Drodzy Przyjaciele Misji, wielkie podziękowania za każdą ofiarę, jaką przekazujecie na rzecz naszych misjonarzy i ich podopiecznych. Nigdy nie starczy słów, by przecenić Wasz wkład w to dzieło. Niech sam Pan Bóg będzie Wam za to nagrodą.



Redakcja:

Ks. Antoni Miciak CM

Ks. Tomasz Ważny CM

Agata Gruzła

Wydawca: Wydawnictwo Instytutu
Teologicznego Księży Misjonarzy
www.witkm.pl

Sekretariat Misyjny Zgromadzenia

Księży Misjonarzy
ul. Stradomska 4
31-058 Kraków
tel.: 12 422 88 77 wew. 215

sekretariatmisyjny@misjonarze.pl
www.adgentes.misjonarze.pl

DWA LATA OBECNOŚCI MISJONARZY W BENINIE



Drodzy Przyjaciele Misji. Właśnie upływają dwa lata od naszego przyjazdu do Beninu. Pragnę pozdrowić Was wszystkich, którzy jesteście z nami i – jak wielu z Was to wyraża – czekacie na wiadomości od nas. Dziękuję Wam gorąco za to zainteresowanie, za Wasze życzenia nadsyłane z okazji Świąt, a szczególnie za Wasze modlitwy. Dziękuję też serdecznie za pomoc materialną, dzięki której, choć jesteśmy tutaj dopiero dwa lata, mogliśmy zrealizować kilka ważnych przedsięwzięć duszpasterskich, o których za chwilę.

Ks. Rafał, ks. Jarek i ja jesteśmy misjonarzami z długim stażem pracy misyjnej. Niemniej znajdując się w nowym środowisku, wśród ludzi mówiących nieznanym nam językiem, z bogactwem nieznaney nam bliżej kultury, pomimo doświadczenia misyjnego trzeba było zaczynać od początku. A początek to poznawanie kultury, zwyczajów, języka. Choć językiem urzędowym w Beninie jest znany nam język francuski, trzeba poznać co najmniej jeden z trzydziestu języków,

którymi mówi się w tym kraju. W naszym przypadku jest to język Bariba, przez Benińczyków nazywany raczej Batonum od nazwy plemienia Batonu. Język nie jest łatwy. Posiada wiele dwu- lub trzyliterowych słów, którym często nadaje się sens poprzez zmianę intonacji. Na stronie internetowej Sekretariatu Misyjnego jest umieszczony tekst modlitwy Ojciec nasz, Zdrowaś Maryjo, Chwała Ojcu oraz nagranie jednego dziesiątka różańca. Warto rzucić okiem i posłuchać. Nauka języka idzie w parze z poznawaniem zwyczajów. O nich pewnie napiszemy jeszcze wiele. Dla przykładu: w kulturze Bariba niezwykle ważną rolę odgrywa prawa ręka. Już sama nazwa „nom geu” – czyli prawdziwa ręka, wskazuje, że mamy do czynienia z czymś ważnym. Prawą ręką podaje się oczywiście na powitanie, prawą ręką przekazuje się i przyjmuje dar. Położenie monety na tacy lewą ręką może skończyć się awanturą. Na prawej ręce układa się zmarłego w grobie. Bariba w zasadzie nie używają sztucców do jedzenia. Tradycyjnie spożywa się posiłek z jednej miski używając do tego tylko prawej ręki. Wydawałoby się to takie proste. Proszę więc spróbować i raz odłożyć sztucce na bok a następnie spożyć posiłek posługując się wyłącznie prawą ręką... Poznawanie kultury to odkrywanie tego, co piękne i czym można się ubogacać. Na przykład szacunek dla ludzi starszych. Jedno z miejscowych przysłów mówi: „człowiek starszy siedząc widzi dalej niż młody stojąc”. Stąd młodszy na powitanie starszego składa głęboki ukłon, a nierzadko dla okazania szacunku przyklęka. Jeżeli starszy coś niesie, młodszy to bierze od niego, aby mu zanieść do celu. Starszy z kolei dając młodszemu do poniesienia swoje rzeczy okazuje mu zaufanie i miłość. Poznawanie kultury to także zderzenie z praktykami przyprawiającymi o dreszcze, na przykład dziecko przychodzące na świat twarzą do ziemi, nie jest uważane za dobre i często jest albo zabijane albo oddawane plemieniu zajmującemu się pasterstwem, aby tam – nie wiedząc skąd pochodzi – pełniło rolę nieomal niewolnika.

Biskup powierzył nam parafię pod wezwaniem Św. Jana Chrzciciela obejmującą 17 wspólnot chrześcijańskich, położonych w promieniu 35 km. Biorąc pod uwagę, że dopiero 20% ludności to chrześcijanie, jesteśmy na prawdziwie misyjnym terenie. Muzułmanie stanowią tam też ok. 20-procentową mniejszość. Pozostali mieszkańcy to wyznawcy tradycyjnych religii, wśród których dominuje vodou. Zaznaczam od

razu, że wodou niekoniecznie musi być kojarzone z magią i laleczkami wodou. Vodou to także naturalna religia szukająca odpowiedzi na tradycyjne pytania, takie jak: kto stworzył i rządzi światem, co dzieje się z człowiekiem po śmierci, jak zapewnić sobie przychyłność Boga, bogów, zmarłych, skąd bierze się cierpienie, itp. Na przykład znajdziemy w tej religii następujące opowiadanie o początkach świata:

„Kiedyś niebo było tak blisko ziemi, że ludzie wprawdzie musieli chodzić trochę pochyleni, ale za to mogli sięgnąć ręką do nieba i zabrać stamtąd wszystko, co potrzebowali. A Pan Bóg, można powiedzieć, mieszkał między ludźmi. Pewna złośliwa kobieta zbudowała sobie tłuczek – większy niż zazwyczaj kobiety używają do przygotowania posiłku. Mając ów dłuższy tłuczek, przy każdym ruchu uderzała nim w niebo. Mieszkańcy nieba zaczęli się skarżyć, że im to przeszkadza. Uparta kobieta odpowiedziała: możecie przecież oddalić się trochę od ziemi i będziecie spokojni. Niebo więc uniosło się wyżej. Ale kobieta dalej uderzała tak, że trzon tłuczka dosięgał nieba. Znowu nastąpiły skargi, a ona ponownie doradziła niebu, żeby odsunęło się wyżej. Historia powtórzyła się po raz trzeci i kobieta zadowolona, że niebo jej słucha, uderzając coraz mocniej dodała: odsuńcie się daleko; kto to widział żeby bogowie mieszkali ze stworzeniami? Niebo odsunęło się daleko a ludzie spostrzegli, że nie mogą już sięgać swobodnie i brać z nieba to, czego potrzebują. Pojawiły się zatem między nimi zło i śmierć”.

Nasza pierwsza posługa to odwiedzanie wspólnot chrześcijańskich, udzielanie sakramentów, wspieranie katechistów i innych odpowiedzialnych w budowaniu wspólnoty, a także rozmowy z katechumenami (katechumeni to ci, którzy przygotowują się do przyjęcia chrztu świętego). Lud Bariba, jak to już pisałem wcześniej, docenia bardzo przesłanie Ewangelii, ale zaangażowanie osobiste w życie



wspólnoty chrześcijańskiej dokonuje się często po długim okresie modlitwy, zastanawiania się. Stąd spotkania z katechumenami są bardzo ważne. Wśród wspólnot tworzących naszą parafię są takie, które liczą do 300 osób, ale są też wspólnoty gdzie jeszcze nikt nie jest ochrzczony. Nasza posługa to także pomoc w organizacji i animacji życia grup apostoelskich dzieci, młodzieży, małżeństw. Niezwykle ważną jest formacja katechistów, którzy na co dzień organizują życie wspólnot, przewodniczą modlitwie, katechizują.

Jesteśmy w środowisku biednym w tym sensie, że ludności nie stać na wybudowanie kościoła czy kaplicy z materiałów trwałych. Pierwsze kaplice na ogół są budowane bardzo skromnie, według możliwości. Natomiast we wspólnotach większych, przejawiających dość wyraźny wzrost liczby chrześcijan, staramy się pomóc w budowie ładniejszej i trwalszej kaplicy. Czeka nas wiele takich budów. W ciągu tych dwóch lat wybudowaliśmy kaplicę Jezusa Miłosiernego w Ourarou. Budowa była możliwa dzięki ofiarności wielkiego Przyjaciela Misji Pana Andrzeja, ale także przy wielkim zaangażowaniu wszystkich mieszkańców wioski. Tak bardzo wszyscy przeżywali budowę i tak bardzo cieszyli się, iż będą mieć prawdziwy dom Boży,



że każdy chciał mieć w tym swój udział. Nawet dzieci nosiły wodę, nie mówiąc o dorosłych, którzy zostawiali swoją pracę w polu (Benińczycy żyją głównie z rolnictwa), aby kaplica powstała jak najszybciej. Już w czasie budowy kaplicy poczyniliśmy przygotowania, aby nabożeństwo do Miłosierdzia Bożego odbywało się w języku Bariba. Kaplica została wybudowana w ciągu kilku miesięcy, a tuż przed Wielkanocą odprawiliśmy pierwsze nabożeństwo. Obecnie trwają przygotowania do poświęcenia kaplicy. W ilu wspólnotach bę-

dziemy w stanie wybudować podobne kaplice? Chcielibyśmy bardzo, aby każdego roku powstała jedna taka kaplica.

Dzięki pomocy Przyjaciół Misji poprzez Sekretariat Misyjny realizujemy projekt formacji przez wyświetlane filmy. Nasze seanse w chwili obecnej odbywają się na wolnym powietrzu. W centrum parafii w każdą niedzielę wieczorem wszyscy chętni mogą obejrzeć ciekawy film religijny. To, że jest kino na wolnym powietrzu, ma swoje plusy i minusy. Wielkim plusem jest to, że każdy może przyjść nie obawiając się, że jest muzułmaninem czy niewierzącym i wmieszany w tłum obejrzeć film. Minusem jest to, że chcielibyśmy, aby wyświetlaniu filmów towarzyszyło spotkanie dla chcących porozmawiać o treści wyświetlanych filmów. Do tego przydałaby się nam sala. Sala byłaby także rozwiązaniem w przypadku niesprzyjającej pogody. Teraz, gdy pada deszcz musimy odwoływać seans. Zainteresowanie tą formą ewangelizacji sprawiło, że nasze kino robi się także kinem wyjazdowym do innych wiosek, a nasz biskup, widząc to zainteresowanie, zachęca inne misje do czynienia podobnych rzeczy. Sam też przy katedrze rozpoczął podobną formę duszpasterzowania.

Zachęcenii przez naszego biskupa Marcina Adjou, rozpoczęliśmy zakładanie na terenie parafii wspólnot podstawowych. Wspólnota podstawowa liczy od 20 do 50 osób, czyli taką liczbę członków, aby wszyscy mogli znać się osobiście. Tworzą ją ci, którzy mieszkają w sąsiedztwie. Raz w tygodniu odbywa się spotkanie wspólnoty. Składa się na nie: modlitwa; dzielenie się tym, co wydarzyło się w minionym tygodniu w rodzinach tworzących wspólnotę a także w wiosce, parafii, kraju czy na świecie; lektura Ewangelii na najbliższą niedzielę i dzielenie się słowem Bożym; postanowienie na najbliższy tydzień, którego realizacja będzie poddana ewaluacji na następnym spotkaniu; modlitwa wstawiennicza, w czasie której każdy może podać publicznie swoją intencję; czasem także składka w celu wsparcia konkretnej akcji pomocy. Każde spotkanie odbywa się u innego członka wspólnoty. Spotkania cieszą się dużą frekwencją, przyczyniając się do ożywienia wiary, wzajemnego wspierania się w trudnościach, a także podejmowania inicjatyw na rzecz dobra wspólnego.

Ojciec Generał, wysyłając nas do Beninu, prosił także o zapewnienie opieki duchowej siostronom zakonnym należącym do Rodziny Win-

centyńskiej. W Beninie pracują trzy zgromadzenia siostr należące do naszej rodziny. Największą wspólnotę tworzą Siostry Maryi od Cudownego Medalika założone przez siostrę miłosierdzia Leopoldynę Brandis w Słowenii. W Beninie są siostry Chorwatki oraz Beninki. Drugą wspólnotą jest Zgromadzenie Służebnic Miłości Odkupieńczej Chrystusa (Servantes de l'Amour Redempteur du Christ) założone w Beninie w 1988 roku przez biskupa diecezji Porto Novo Wincentego Mensah. Naśladując Chrystusa na wzór św. Wincentego a Paulo, siostry odwiedzają ubogich i chorych w ich domach, prowadzą ośrodki zdrowia, otaczają opieką dzieci porzucone i sieroty, przygotowują do odpowiedzialnego życia młode dziewczyny, pomagają niepełnosprawnym i odwiedzają więźniów. Z tymi dwiema wspólnotami utrzymujemy bliższy kontakt, prowadzimy dla nich rekolekcje, dni skupienia i sesje wincentyńskie. Siostry Maryi od Cudownego Medalika mają także wspólnotę w Biro, gdzie prowadzą między innymi sierociniec – internat dla dziewcząt. Trzecia wspólnota siostr to Zgromadzenie Sióstr Wincentyńskich Maryi Niepokalanej, których założycielem jest Włoch, bł. Fryderyk Albert.

Benińczycy bardzo kochają Matkę Najświętszą. Ci, którzy badają historię ewangelizacji Beninu, podają jako hipotezę, że ewangelizację Beninu (dawnego Dahomeju) mogli rozpocząć potomkowie niewolników, którzy wrócili do swojej ojczyzny z Ameryki Południowej. Przywieźli i zaszczepili wśród swoich braci pobożność maryjną. Tym tłumaczą tak intensywny rozwój kultu Matki Najświętszej w tym kraju. W jednej z naszych miejscowości, do której dojeżdżamy z posługą, a która nazywa się Serekali, kult Matki Najświętszej jest szczególnie żywy. Razem z wiernymi tej wspólnoty wybudowaliśmy obok kaplicy grotę, w której umieściliśmy figurę Matki Bożej z Lourdes. Grota powstała szybko, ponieważ cała wspólnota aktywnie uczestniczyła w jej budowie. Figurę Matki Bożej kupiliśmy z ofiar Przyjaciół Misji (kupiśmy ją w stolicy kraju u pewnego Hindusa, który – jak powiedział – sprowadził ją z Chin). Biskup, również wielki czciciel Matki Najświętszej, zapowiedział się w dniu przewidzianym na poświęcenie. Był wyraźnie zaskoczony ilością zebranych wiernych. Był to czas kiedy rolnicy powinni siać i sadzić w polu, czego jednak w tym okre-



się nie mogli czynić, ponieważ nie było deszczu i ziemia była bardzo sucha. Podczas ceremonii poświęcenia prosili więc biskupa, aby pomodlił się razem z nimi do Matki Najświętszej o deszcz. Biskup wziął pod uwagę ich prośbę, wspólnie pomodliliśmy się w tej intencji, a na zakończenie mieszkańcy przygotowali ucztę dla wszystkich uczestników. Kiedy już wróciliśmy do swoich domów (był późny wieczór), ku wielkiej radości wszystkich spadł obfity deszcz. Tą historią, która miała miejsce 30 kwietnia 2014 roku i której byliśmy naocznymi świadkami, kończę mój list.

Droży Przyjaciele Misji, dziękując Wam wszystkim jeszcze raz za zainteresowanie naszą misją, polecam Waszym modlitwom nas kapłanów (mamy nadzieję, że wkrótce dołączy do nas czwarty misjonarz z Polski), naszych najbliższych współpracowników, zwłaszcza katechistów, naszych chrześcijan i tych, którzy jeszcze w Chrystusa nie uwierzyli. Pozdrawiam i zapewniam Was o naszej pamięci modlitwowej oraz życzę Wszystkim wszystkiego co najlepsze. Szczęść Boże.

Ks. Stanisław Deszcz CM

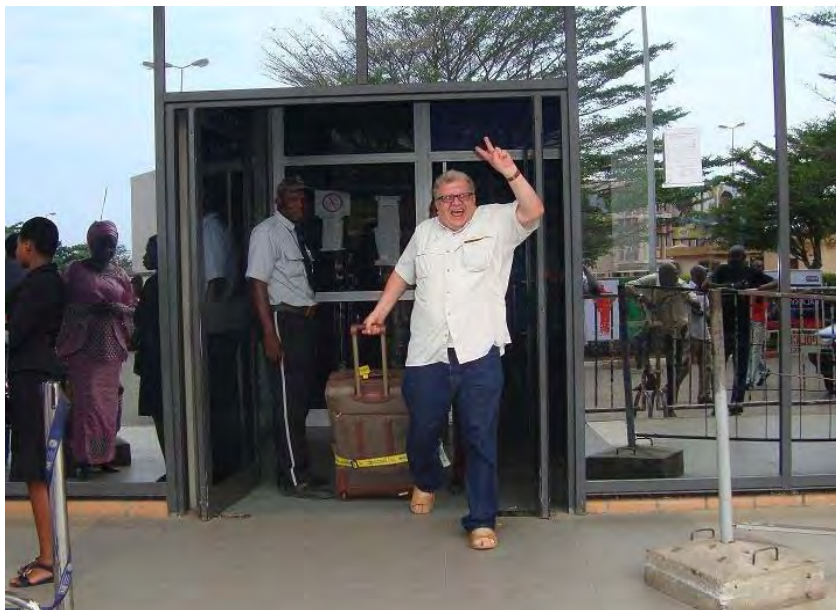
Biro 12.07.2014 r.

BENIN, TRZYNASTEGO...

W większości przypadków słysząc „trzynasty” (jako data), zaczynamy się spodziewać różnych nieprzyjemnych sytuacji, które mogą się przydarzyć tego pechowego dnia. No i proszę: dzień mojego wyjazdu na misję do Beninu przypadł na trzynastego września. Ale istnieje jeszcze inny punkt widzenia, gdy mówi się o trzynastym dniu miesiąca. Jest to przecież data wspomnienia kolejnego objawienia się Matki Bożej w Fatimie. I kiedy zgodzimy się na taką właśnie perspektywę spojrzenia, mogę przystąpić do opisu mojej podróży, która trwała mniej więcej 24 godziny. Zaczniemy więc od początku...



Czas pożegnania to trudne emocjonalnie chwile, szczególnie kiedy pozostawia się miejsca i osoby, które są tobie bliskie. Ile już razy widziałem łzy rozstania w oczach moich bliskich? Ktoś powie: wpisane to jest w „ryzyko” drogi jaką jest misjonarskie życie. Pocieszające jest, że każdy z nas wiedział o najgłębszym sensie realizowania Bożego posłania. Dlatego z oczyma szklistymi od łez poprosiliśmy Tego, który udoskonala naszą rodzinną więź, o Jego błogosławieństwo. Udzieliłem błogosławieństwa moim rodzicom i siostrze, a następnie oni pobłogosławili mnie na kolejne „wyfrunięcie z rodzinnego gniazda”. W Bogu jest nasza siła! Czy nie jest to cudowne uczucie, kiedy wiesz, że ktoś o tobie nieustannie pamięta przed Panem i uprasza potrzebne łaski, abyś Boże wybory w swoim życiu uczynił darem dla tych, do których On cię posyła? Moja rodzina już od 26 lat stanowi duchowe zaplecze moich misyjnych wyjazdów. Św. Wincenty powiedział, że kto pamięta o biednych, temu Bóg błogosławi, bo Bóg kocha szczególnie biednych. Dlatego wierzę, że moi najbliżsi, przyjaciele i znajomi, którzy duchowo wspierają moje misyjne powołanie, mogą zaliczyć siebie do szczęściarzy Bożej wdzięczności.



Wylatywałem z Gdańska do Berlina około godz. 11.00. Czas, który musiałem spędzić na lotnisku w Berlinie czekając na połączenie do Casablanki, nie był jakąś mordęgą, bo подарowano mi na drogę książkę Ebena Alexandra pt. *Dowód – Prawdziwa historia neurochirurga, który przekroczył granicę śmierci i odkrył niebo*. Ktoś powie: na czas latania ponad chmurami lepiej wziąć sobie coś lżejszego, na przykład o kwiatkach i rybkach. Albo przynajmniej zestaw krzyżówek. No cóż, prezentów się nie wybiera. W pewnym momencie zaczęło mnie trochę niepokoić to, że godzina wylotu zbliżała się, a my wciąż nie byliśmy zaproszeni do odprawy. Rychło miało się okazać, że tego dnia przyjdzie mi co i rusz nerwowo patrzeć na zegarek, bo czekała mnie jeszcze jedna przesiadka w Casablance. W początkowej chwili pocieszałem się: mam dwie i pół godziny na przesiadkę, będzie dobrze. Ale mina zaczęła mi rzednąć, kiedy ten zapas czasu zmniejszył się do zera. Według surowych praw matematyki zostanę w nocy na lotnisku w Casablance i będę cierpliwie czekał na kolejne połączenie. Ale rzeczywistość nie okazała się taka brutalna, jak obraz, który rysował się w mojej wyobraźni. Moja nerwowość spotęgowana była tym, że teren przylotu był dla mnie zupełnie nowy i wiedziałem, że osoby, które

miały na mnie czekać w Cotonou, w Beninie, musiały wstać o 3.00 rano. W tym momencie przychodzą różne negatywne myśli, jest to silniejsze od ciebie.

Przypomniała mi się nasza rodzinna podróż do Salonik, kiedy nie zdążyliśmy na połączenie w Budapeszcie i musieliśmy czekać na lotnisku dwanaście godzin. Brrr... Czyżby historia miała się powtórzyć? Tam przynajmniej byłem w towarzystwie, a tu sam jak kołek. Powoli zacząłem żałować, że szukałem najtańszego połączenia. Jak to mówią: kto skąpi ten dwa razy traci. Czy miałem stać się potwierdzeniem tej mądrości ludowej? Kiedy po trzech godzinach opóźnienia pozwolono nam wejść do samolotu, moim oczom ukazał się taki bałagan, jakiego w życiu jeszcze nie widziałem. Każdy zajmował miejsce jak popadło, mając przecież wykupiony bilet z wyznaczonym konkretnym miejscem. Krzyki, płacze, przeciąganie jeden drugiego. Drobnej postury steward próbował wprowadzić porządek, ale gdyby były większe i otwierane okna, to na pewno by go przez nie wyrzucono. Stewardesy tylko broniły się, żeby ich nie stratowano.

Kiedy dotarłem do miejsca, które miałem zapisane na bilecie, oczywiście było już zajęte. W swojej naiwności osobie, która je zajmowała, zwróciłem delikatnie uwagę, że to jest moje miejsce. W odpowiedzi usłyszałem: „nie widzisz, że każdy siada tam gdzie chce?!”. Tak więc brnąłem przez całą tą szamotaninę ludzką, spadające bagaże podręczne, które były o wiele za duże, żeby je umieścić w schowku nad siedzeniami, i przy kolejnej próbie wciśnięcia ich pomimo wszystko, spadały jak śliwki z drzewa. W pewnym momencie z przerażeniem stwierdziłem, że jestem już na ogonie samolotu, a miejsca dla mnie nie ma. Zacząłem się bać, że jest więcej pasażerów, niż miejsc na pokładzie. W popłochu zauważyłem, że na jednym siedzeniu jest umieszczona duża walizka, która miała być bagażem podręcznym, a była tak duża, że moja walizka zasadnicza przy niej była małą torebką. Siedzących obok grzecznie poprosiłem, czy mogę ją przenieść gdzie indziej, a sam zajmę to miejsce. Zrobili bardzo niewyraźne miny. Ponieważ ubrani byli po arabsku, ich spojrzenie mnie przeraziło i już miałem się wycofać, kiedy jedna ze stewardes przyszła mi z pomocą. I kiedy wyjaśniła im po arabsku, że umieści ich walizkę w bezpiecznym miejscu z przodu samolotu, a ja sobie tu usiądę, bo nie

ma już miejsca, miny im się rozjaśniły i – szczęśliwie dla mnie – skinięciem głowy pozwolono na ten manewr. Usiadłem, ale cały czas czułem się tam trochę nieswojo.

Wreszcie kapitan zapowiedział, że ruszamy na pas startowy. Z niedowierzaniem patrzę, że duża część pasażerów szuka jeszcze miejsca. Jednak po kilku minutach wszyscy nagle znaleźli się w fotelach. No proszę, pomyślałem, jednak są inne metody na zaprowadzenie porządku. Kiedy zauważyłem, że starsza pani siedząca obok mnie walczy z pasem bezpieczeństwa nie mogąc go zapiąć, dając znak ręką, bo nie znam arabskiego, poprosiłem, że jej pomożę. Pozwoliła. Kiedy udało się, na jej twarzy pojawił się uśmiech wdzięczności. Jej syn (tak mi się przynajmniej wydawało) także skłonił głowę w moją stronę, wyrażając podziękowanie za okazaną pomoc. Uff! Zaraz poczułem się lepiej. Nawet ich gardłowy arabski, który przedtem wzbudzał we mnie dreszcz niepokoju, teraz stał się jakby przyjemniejszy. Dzięki, Panie, za przełamywanie barier nieufności. Początek wielkiego bałaganu zaczął niepokojąco współpracować z wyobraźnią. Czy ten samolot faktycznie wystartuje? A może odpadną koła lub któryś z silników? Po kilku minutach, kiedy byliśmy już w powietrzu, nagle poczułem swąd spalenizny. Lekko zaczęły mi się prostować kręcone loki moich włosów i z przerażeniem zerkałem przez okienka czy nie widzę płomieni buchających z silników. Za oknem w ciemnościach, w regularnych odstępach czasu, rozbłyskiwały lampy samolotowe umieszczone na skrzydłach. Za kilka minut niepokojący zapach spalenizny miał się okazać serwowaną kolacją, czyli kurczakiem w potrawce. Nawet nie spalony, o dziwo! Popatrzyłem z przerażeniem na zegarek. Prawda matematyczna była okrutna, nie zdążę na samolot w Casablance. Pocieszając się w myślach, wyobrażałem sobie, że spaceruję ulicami Casablanki mając cały dzień na następny samolot do Cotonou.

Kiedy na mapce trasy naszego lotu ukazało się, że lecimy w pobliżu Lourdes, pozostała mi tylko modlitwa zawierzenia: „Matko, czuwaj nade mną!”. Cóż mogłem uczynić więcej?! I faktycznie, przejęła inicjatywę. Wsiadając z samolotu w Casablance nie wiedziałem do końca ile mamy opóźnienia, bo zegarki kazano przesunąć o godzinę do tyłu. Czyli jest nadzieja. Przy wyjściu z autobusu, który nas przewoził po płycie lotniska, stał pracownik portu lotniczego i głośno wyczytywał

nazwiska tych, którzy mieli lecieć do Cotonou, w pewnym momencie usłyszałem także swoje. Poprosił nas, abyśmy poszli za nim, bo czeka na nas samolot. Hurrria! Kiedy wchodziłem na pokład samolotu do Beninu, niepokoił mnie los moich bagaży. Czy zdążą je przewieźć? Zapytałem dla pewności stewardesę. „Proszę się nie martwić. Pana bagaże lecą tym samym samolotem”. – usłyszałem pocieszenie. Kiedy usiadłem i samolot wystartował w kolejny rejs mojej podróży, poczułem niesamowitą ulgę. Napięcie niepokoju ustąpiło. I zasnąłem, aż do uderzenia podwozia samolotu w płytę lotniska w Cotonou.

Kiedy schodziłem do autobusu, powróciły obrazy z pierwszego mojego przyjazdu do Afryki tzn. do Kinszasy – stolicy byłego Zairu, kiedy to szarpano nas z prawa i z lewa, pytano w niezrozumiałym wtedy dla mnie języku – lingala, a ja trzymałem kurczowo paszport przy piersi i broniłem jak najcenniejszego skarbu. Szczęście dla mnie – historia się nie powtórzyła. Wszędzie grzecznie nam wskazywano drogę i pomagano, abyśmy nie zblądzieli. Byłem w szoku. Czy tym razem moje doświadczenie Afryki miało być inne, to znaczy lepsze? Lotnisko różniło się od tych, które odwiedzałem w innych częściach świata. Powiedzmy – skromne – w swoim wyglądzie i estetyce. Ale w tym momencie nie było to najważniejsze. Kiedy ruszyła taśma z bagażami i zapaliła się ostrzegawcza czerwona lampka, w mojej głowie także zabłysła lampka – czy odbierzesz swoje bagaże? Za chwilę jednak z luku wyłoniła się moja mniejsza walizka, w której były tzw. pobożności: obrazki, medaliki, różańce itp. Zaraz powinna być i ta większa, z moimi rzeczami osobistymi – pomyślałem. Czekam i czekam, kolejni pasażerowie uszczęśliwieni odchodzą do wyjścia, by spotkać się ze swoimi najbliższymi, a ja czekam i nic. Nagle taśma bagażowa – całkowicie pusta – stanęła. Obsługującego to urządzenie z drżącym głosem zapytałem: to już koniec?, tak jakbym naiwnie spodziewał się, że jeszcze uruchomią specjalnie dla mojej jedynej walizki. Odpowiedź padła jak wyrok skazujący: tak to już koniec! Zrobiło mi się przykro, nie powiem. Podszedłem do biura, gdzie zgłasza się zaginiony bagaż, spisałem protokół. Wyszedłem na zewnątrz lotniska, gdzie czekał na mnie ks. Stanisław Deszcz. W tym zakłopotaniu zapomniałem się nawet z nim solidnie przywitać i poprosiłem go tylko, aby wszedł ze



mną do środka. W drodze do biura rzeczy zaginionych najprościej jak umiałem wytłumaczyłem mu zaistniałą sytuację. Jemu też zrobiło się przykro z tego powodu, ale cóż, pozostało nam tylko czekać przez kolejne dni na telefon z lotniska.

Ta sytuacja pokrzyżowała nieco nasze plany wyjazdu w dalszą drogę do Biro, gdzie znajduje się nasz dom misyjny, ale jak to mówią: na układy nie ma rady. Kiedy przyjechaliśmy, po prawie dwóch godzinach jazdy, do domu Sióstr Matki Bożej od Cudownego Medalika, słowa powitania mieszały się z lamentem nad zgubioną walizką. Mieliśmy cały dzień, aby załatwić potrzebne sprawy dla domu w Biro. Szczęśliwie przywiezione przeze mnie obrazki ks. Stanisław mógł dać do oprawy w ramki. Podobno ludzie o nie pytają i ich poszukują, chcąc zawiesić je na ścianach swoich domów. W sercu podziękowałem Panu Bogu: dzięki Ci, Boże, że nie zginęła walizka z tymi świętościami. Bo większy jest z niej pożytek, niż z mojej bielizny i koszulek.

Zakończenie tej historii miało okazać się wielce interesujące. Otóż, w niedzielę w kaplicy sióstr przewodniczyłem odprawianej w języku francuskim mszy świętej. W homilii podkreślałem radość tych, o których mówił Ewangelista: pasterza, który odnalazł zagubioną owcę oraz kobiety, która odszukała zaginiony pieniążek. Kiedy po mszy św. przyszedliśmy na śniadanie, siostra Yacinta mówi do mnie, że zna jeszcze jedną osobę, o której nie wspomniałem w homilii. Trochę zdezorientowany pytam, a o kim zapomniałem. „O sobie, księżo, o sobie.” Wciąż nie kojarzyłem faktów. Siostra pospieszyła mi z pomocą: „Dzwonili z lotniska o 5.00 rano, że walizka się odnalazła i może ją ksiądz odebrać”. Moja mina w tym momencie była chyba najlepszym komentarzem do czytanej kilkanaście minut wcześniej Ewangelii. Teraz już spokojnie mogliśmy zaplanować dalszą podróż. A tam czekało mnie wiele niespodzianek. Ale o tym następnym razem.

Trzynasty dla mnie zdecydowanie okazał się szczęśliwym dniem. Maryjo, to dzięki Tobie!

Ks. Jarosław Lawrenz CM



Dnia 22 września 2013 roku oficjalnie powitaliśmy w Biro ks. Jar-ka. Ludziom ciężko jest wymówić słowo „Jarek”, a ponieważ funkcyj-kuje tutaj imię „Jaru”, więc ochrztili go spontanicznie Jaru. Tak więc ks. Jaru rozpoczął pracę misyjną w Beninie:

1. poświęcając nowe tabernakulum w kościele parafialnym,
2. poświęcając nowy tam-tam dla chóru młodzieżowego,
3. błogosławiąc wszystkim zebrany na tę okoliczność.



Ks. Stanisław Deszcz CM

Z DZIENNIKA KS. MARKA

17.02.2014. Przed chwilą przyjechałem motorem z buszu Antsiranam be (60 km) do Farafangana, oczywiście z małymi „przebojami”. Po drodze miałem do przejechania pięć drewnianych mostków. Na ostatnim (dwumetrowej wysokości) prawie wpadłbym do wody. Konstrukcja 5 metrów długości, belki spróchniałe, większość poprzecznych żerdzi zniknęła, kilka dużych przerw między żerdziami, w nocy padał deszcz, więc belki mokre i śliskie, ludzie przechodząc boso przez błota, dobrze wysmarowali je gliną, koła też śliskie od gliny. Dwa razy przednie koło wpadło między belki, ale wyrwałem. Niestety ostatni metr był fatalny i przód i tył zablokowany. Na szczęście w pobliżu mężczyzna najspokojniej w świecie plewił swoje pole. Gdy go zawołałem, przyszedł bez pośpiechu i pomógł mi wybrnąć z problemu; gdyby nie on, musiałbym trzymać motor i czekać na kogoś innego. Nic innego nie mógłbym w tym momencie zrobić, wszelkie manewry o własnych siłach (motor waży 105 kg), mogłyby się skończyć fatalnie, przynajmniej dla motoru. Ale taka jest rzeczywistość małgaska, nikogo to nie rusza i nie wzrusza. Droga państwowa, samochody – półciężarowe, z dużym ryzykiem przejeżdżają. Oczywiście wożą ze sobą cały ekwipunek (grube deski, liny, łopaty).



Jutro też wracam do buszu (Bema, Firinga), kolejne 125 km do przejechania. Powrót będzie trochę problematyczny, nie wiem czy mi wystarczy benzyny. Będę próbował po drodze kupić dwa litry, ale to już loteria. Najwyżej tych 15 km to będzie przymusowy spacer. W plecaku laptop, sprzęt do mszy św., koszula na zmianę, mydło i szczoteczka do zębów. Laptop, by podłączyć się w Farafanganie do Internetu. Byłem pewny, że ks. Marcin pojechał do Fianarantsoa ze swoim laptopem, ale zajeżdżam na podwórko do domu w Anakira i widzę ks. Marcina jak lekko kuleje na lewą nogę. Wyjazd anulowany: jak mi powiedział, podczas ostatniego sadzenia drzewek w Amboigogo, pośliznął się na mokrej trawie i kilka metrów poturlał się w dół. Coś chrupnęło w kolanie, nie mógł wstać, ale krótka modlitwa i mały szantaż przed Panem Jezusem, „jeżeli pomożesz mi wstać, to w tym miejscu postawię trzecią Drogę Krzyżową”. Po dziesięciu minutach wstał o własnych siłach i tylko z lekkim bólem kończył sadzenie drzewek.

27.03.2014. Piszę z Farafangana. Wpadłem na chwilę. Głównie korespondencja i cemencik, jutro odlot do bazy. Jak zwykle kilka dni w buszu, trochę w Ankarana (zebranie z katechistami i komitetami parafialnymi), trochę dobrej książki, malowanie, coś do zreperowania, doglądanie pracy robotników, odwiedzanie chrześcijan... na brak zajęć nie narzekam. W maju ruszam z budową kaplicy w buszu, już na dobre.

10.04.2014. Z lekkim wyprzedzeniem (nie często mam dostępu do Internetu) przesyłam kilka wieści i pozdrowień-życzeń z Czerwonej Wyspy. Nadal na południu wyspy ludzie żyją w niepewności jutra. Wydawałoby się, że nowy rząd sytuację ustabilizuje, ale małe środki, długi okres „bezkrólewia”, spora ilość broni w rękach bandytów, a nade wszystko mentalność, nie wróżą szybkiego opanowania sytuacji i zapewnienia ludziom minimum bezpieczeństwa. Powstają komitety samoobrony. Ankarana każdej nocy jest strzeżona przez czternastu młodych mężczyzn. W sąsiedniej parafii w Midongy zginęło już trzech żandarmów. Co chwilę docierają do nas wiadomości o kolejnych napadach rabunkowych. W ubiegłym tygodniu odwiedziłem w szpitalu Ihorombe (busz parafii Ankarana) nauczycielkę Jannette (matkę czworga dzieci), która prowadzi dla Misji alfabetyzację młodzieży w Marapasy. Otóż w nocy, 13 marca, miała „odwiedziny” pięciu wyrostków, którzy

dowiedzieli się, że otrzymała miesięczną pensję (jest też nauczycielką w szkole państwowej). Została dotkliwie pobita i pokaleczona nożami dla kwoty 30 tys. ariary (około 40 zł). Gdyby nie szpital i piętnaście szwów, mogło by się wszystko zakończyć tragicznie. Takie napady zdarzają się nieustannie. Władze są bezsilne. W całej diecezji prawie codziennie odmawiana jest modlitwa o pokój i bezpieczeństwo. Bez tego nie ma mowy o normalnym życiu i rozwoju.



Kalwaria w Ankarana

Jesteśmy w przededniu kanonizacji Ojca Świętego Jana Pawła II. Z młodzieżą przygotowujemy program, dekoracje. Jan Paweł II tylko jeden raz w 1989 r. odwiedził Madagaskar, ale pamięć o Nim jest bardzo żywa. Niewielu tu wie, że był Polakiem i gdzie leży Polska, czy nawet Rzym. Wiadomo: poziom szkół, świadomość polityczna bardzo słaba.

W sobotę przed Niedzielą Palmową młodzież z całej parafii przyjdzie na rekolekcje, które poprowadzi ks. Innocenty (Malgasz) z klerykami z Wyższego Seminarium z Fianarantsoa. W programie sadzenie drzewek; droga krzyżowa ulicami Ankarana (są tylko dwie ulice);

procesja z palmami od Krzyża – małego wzgórza zwanego Kalwarią – czyli 2,5 km od miasta; sprzedaż płodów ziemi, które przyniesie młodzież; czuwanie nocne itd. Od poniedziałku do Wielkiego Czwartku rekolekcje dla dzieci i dorosłych z całego buszu. Ja w tym czasie będę „buszował” (11 kaplic-wiosek) z dwoma klerykami, by jak najwięcej chrześcijan skorzystało z darów sakramentalnych Wielkiego Tygodnia. Program ambitny, oby pogoda dopisała.

Ten rok jest wyjątkowo suchy, bez cyklonów, przynajmniej na południu. Niestety, część ryżowisk wyschła, zbiory będą gorsze, jeżeli nie będzie nadal opadów. Z Bożą pomocą i Waszym darem serca ukończyliśmy budowę dwóch domów dla pracowników Misji (stolarzy i murarzy). Było uroczyste poświęcenie. W maju ruszamy z budową kościoła w Enamohora (kamienie, piasek, żwir w komplecie). Prace budowy kościoła w Bema chwilowo wstrzymane. Chrześcijanie nadal noszą piasek (3 km).

Każdego roku Wielkanoc na Madagaskarze przypada na kończące się deszczowe lato i na początek suchej „zimy”. Tak zwany przednówek (ogólnie brak żywności, owoców, jarzyn, kwiatów) zbytnio nie nastraja do radosnego śpiewania Alleluja! Ale i tak będzie radośnie i śpiewnie. Nie warunki zewnętrzne, tylko prawdziwa wiara pomaga nam wyśpiewywać hymn wdzięczności Bogu, iż dostąpiliśmy łaski odkupienia i to we wszelkim wymiarze obfitości. Naszą powinnością jest te dary nieba przyjąć i hojnie dzielić się z małodusznymi, zagubionymi, zniewolonymi i zniechęconymi.

28.04.2014 – NIEDZIELA PALMOWA W PARAFII ANKARANA. Całą noc padało, rano przelotne deszcze. O 8.30 wyjeżdżam motorem do Enamohora. To tylko 15 km, spora część drogi to czerwona, gliniasta ziemia. Jadę bardzo ostrożnie, by nie znaleźć się w szpitalu. Po drodze mijam procesję na czele z ks. Innocentym, seminarzyści z Wyższego Seminarium z Fianarantso, przyjechali by mi pomóc: Antonim (pierwszy rok teologii), Wawrzyniec i Robert (obaj pierwszy rok filozofii), ministranci, młodzież z buszu (85 osób), wierni z Ankarana. Wszyscy przemoczeni, ale ze śpiewem i z palmami idą od Kalwarii (skrzyżowanie dwóch dróg, 3,5 km od Ankarana, gdzie stoi betonowy krzyż i figura Matki Bożej) do kościoła. Co chwilę spoglądam na niebo, czy mnie też nie poleje. Chwyciłem tylko kilka

kropel, przysłowiowe kropidło. Prawie godzina jazdy, cały w błocie. W kościele Namohora wszyscy cierpliwie czekają. Jest też druga ekipa seminarzystów: Joanes (2 rok teologii) i Xawie (1 rok teologii), których przywiozłem w sobotę i zostawiłem po drodze. Liturgia przygotowana, procesja z centrum wioski. Po mszy św. kilka ustaleń odnośnie budowy kościoła. Po południu wracam do bazy już w słońcu, na zebranie z młodzieżą i wieczorne czuwanie.



WIELKI PONIEDZIAŁEK. Tym razem na piechotę do Mahabo (4 godziny). Zejście z Ankarana (200 metrów w dół) do Efatsy to też Kalwaria. Maziste błoto, duża stromizna, chwilami nie wiem gdzie nogę postawić. Czuję się jak na ślizgawce. Po drodze mijam bardzo duży targ w Efatsy. Ludzi dużo, ale sprzedających mało. Trudny okres, brak nowych zbiorów. Najczęściej widzę rozłożony na ziemi młody maniok, pomarańcze (jeszcze zielone), mandarynki, banany. Kupuję kilka mandarynek, „ciastka z manioku” i dwa (literalnie) kawałeczki mięsa wołowego. To mój obiad. Czasami ktoś mnie pozdrowił. Ponad 90% populacji miasta to ludzie nie mający kontaktu z Kościołem. Droga, którą idę, od lat jest nieprzejezdna. Dwa przejazdy betonowe przez małe

rzeczki całkowicie załamały się w połowie. Podejrzewam, że druty zbrojeniowe były za słabe i ilość cementu za mała. Chyba ktoś na tym dobrze zarobił. To częste przypadki na Madagaskarze (najważniejsza jest inauguracja i otwarcie z wielką pompą, potem – niech się wali...). Po drodze przeprawa przez ryżowiska. Od kilku dni deszcze nie ułatwiają przeprawy. Jeden raz upadłem, lewa dłoń przez kilka dni dawała znać o sobie. Od czasu do czasu ostry deszcz znad oceanu. Godzina spóźnienia. Dochodząc do kościoła słyszę śpiew. Słaba frekwencja, wiadomo – pogoda, wiara chyba też jeszcze słaba. Sporo młodzieży, gorzej z dorosłymi. Po mszy św. idę do Antsiranbe (5 km), do staruszki, która zawsze jest wniebowzięta, gdy przynoszę Komunię św. Klerycy zostają w Mahabo na antsam-panahy (śpiewy przeplatane modlitwą). O kolacji nikt nie pomyślał, na szczęście po drodze kupiłem trzy mączne ciasteczka i kawę. Do rana można wytrzymać.

WIELKI WTOREK. O godz. 9.00 msza św. Najpierw pojawił się katechista Jabany Tena, czyli Ojciec Tena (u Antysaków nie używa się imienia ojca tylko imię pierwszego dziecka z dodaniem „ojciec” lub „matka”), za chwilę dochodzą seminarzyści. Pojawia się kawa i mandarynki. Już dwa razy dzwoniłem kościelnym dzwonem – wolno stojąca dzwonnica stoi przed kościołem. Na większą grupę chrześcijan trzeba było jeszcze czekać do godz. 10.30 (z pewnością czas i zegarki to wynalazek białych...) Program trochę się sypie. O godz. 14.00 msza św. w Bema, a do przejścia droga na cztery godziny. Liturgię mszy trochę skracam, winę zrzucam na spóźnialskich. O obiedzie nie ma mowy, chociaż ryż i związana kura czekają na garnek. Szybko pakuję się i przepraszam, że nie będę mógł zjeść obiadu. Po drodze kupuję kilka ciastek, sprawna przeprawa łódką przez rzekę i w drogę. Początek – koszmar: kilka kilometrów przez niekończące się ryżowiska, chwila mi nogi zapadają się po kolana w grząskim błocie (łało kilka dni). Jeden raz zjechałem na „czterech literach”. Słońce jeszcze nie osuszyło dróg. Z prawie dwugodzinnym opóźnieniem docieram do Bema. Katechista wiernie czeka, część wiernych już się rozeszła, niektórzy mają prawie dwie godziny do wioski, gdzie mieszkają. Nie powiem, sporo wiernych jeszcze „chwyciłem”. Po mszy św. dyskusja na temat budowy nowego kościoła. Jestem mile zaskoczony. Ponad dwie ciężarówki piasku



na placu. Sporo wysiłku ich to kosztowało. Wszystko noszone na głowie w małych koszykach, 3 km od placu budowy. Nic innego mi nie pozostaje, jak zorganizować transport cementu i ruszać z budową, dopóki piasku nie zabraknie. Już czuję zapach ugotowanej kury i ryżu. Śpię w kościele, wiatrem podszyty. Sporo gwiazd i księżyc zaglądają do środka. Na szczęście jest jeszcze w miarę ciepło, ale w maju trzeba będzie nocować w jakiejś malgaskiej chacie.

WIELKA ŚRODA. Rano jak zwykle brewiarz, cierpliwie czekam na kawę. Obiecali, że o 6.00 będzie gotowa. Małe spóźnienie, tylko jedna godzina, ale jestem spokojny: do Firinga tylko półtorej godziny. Jestem punktualnie o 9.00 pod drzewem leczi, gdzie będzie też budowa nowego kościoła. Prawie wszystkie kościoły rozszarpały się w 1996 r., kiedy to przez te tereny przeszedł cyklon Grettelle. Część odbudowano, część nie, tak jak tutaj w Firinga. Na razie na placu boju jestem sam i kilka krów, które leniwie odpoczywają w cieniu drzew. Posyłam małego chłopca po katechistę. Nic innego mi nie pozostaje, jak czekać – tym razem tylko godzinę. Tłumów nie ma, ale ta garstka, która się ostała, jest wierna. Gorzej z budową, zwłaszcza z piaskiem, który znajduje

się nad rzeką (4 km od wioski). Kamienie na budowę i drzewo w komplecie. Po mszy św. obiad (ryż i jajko). Czterech chłopaków odprowadza mnie do Fenoarivo. Nareszcie moje plecy odpoczną od plecaka. Nie ciężki, ale te 5 kg trzeba nieść. Plecy spocone, koszula przylepia się do pleców. Idziemy na skróty, czyli przez ryżowiska, a raczej bruzdami pomiędzy ryżowiskami. Bruzda ma szerokość jednej stopy. Trzeba mieć wprawę by nie spaść. Już się wprawilem, gorzej jak popada. Niecałe dwie godziny szybko mijają. Chłopcy są rozmowni, ale nie wszystkie słowa rozumiem. Trzeba jeszcze trochę czasu by dobrze chwycić język Antysaków, jednego z 18 plemion malgaskich. Słychać śpiew, gdy dochodzimy do kościoła.

Kościół wypełniony młodzieżą. Prawdziwy cud. Jeszcze tylu modlących się w Fenoarivo nie widziałem. Podejrzewam, że będą prosić o piłkę. Katechista z dumą prezentuje młodzież jako kandydatów (28 osób) do chrztu i Pierwszej Komunii Świętej. Cierpliwie tłumaczę, że trzeba co najmniej dwa lata modlić się w każdą niedzielę i oczywiście obowiązkowa jest nauka katechizmu. Czy wytrwają? Czas zweryfikuje ten zapal. O piłce nic nie wspominają. Po mszy cierpliwie czekam na dogotowujący się ryż i kurę. Wspólny obiad. Zbieram moje rzeczy i w drogę do Ankarana, czyli dwie i pół godziny na nogach. Lubię chodzić na piechotę. Jest czas na modlitwę różańcową, na spokojne rozmyślanie o różnych sprawach.

WIELKI CZWARTEK. O 10.00 wyjazd motorem do Marapasy. Droga w miarę sucha. Dojeżdżam do miejsca, gdzie był niegdyś kościół. Po cyklonie pozostała tylko posadzka cementowa i ołtarz. Zero wiernych. Po chwili pojawia się kilkoro dzieci i dorosłych. Usłyszeli mój motor, więc przyszli. Są zdziwieni wieścią o moim przyjeździe. Widocznie zawiadomienie na piśmie nie dotarło. Katechista też dwa razy nie przyszedł na zebranie dla katechistów, które odbywa się pierwszego tygodnia każdego miesiąca. Co robić? Odmówiliśmy cząstkę różańca, wyjaśniłem program praktyki kleryków, którzy jutro tu przyjdą. Jadę do Ihorombe. Ruch wokół kościoła. Kuchnia (tj. trzy kamienie, na których stoi garnek) pracuje pełną parą. Kilka kucharek co chwilę dorzuca parę patyków do płomienia. To najczęstszy sposób gotowania na Madagaskarze.

W kościele druga ekipa kleryków z młodzieżą (Antonio – III rok teologii i Lorent – I rok filozofii), od poniedziałku „buszują”, tj. prowadzą modlitwę, katechezę, naukę śpiewu, odwiedzają rodziny chrześcijan – słowem praktyka duszpasterska. Spora grupa młodzieży wytrwale uczy się nowej piosenki religijnej na trzy głosy. Rodzaj chóru, nieźle im wychodzi, chwalę ich. Kawa przygotowana, pojawia się jak zwykle ryż i dodatek do ryżu – smażone rybki. O 15.00 rozpoczynamy liturgię Wielkiego Czwartku i chrzty dziewięciorga dzieci. Zapomniałem zabrać ze sobą oleje święte. No cóż – będzie mała „poprawka” chrztów następnym razem. Liturgia elegancko przygotowana. Będzie mycie nóg dwunastu apostołom. Kazanie mówi kleryk. Dobrze się przygotował. Wieczorem czuwanie przed Najświętszym Sakramentem do godz. 22.00. Ponad 40 osób, głównie dorośli.

WIELKI PIĄTEK. Punktualnie o godz. 6.00 rano rozpoczynamy drogę krzyżową, zakończoną liturgią Komunii św. Pełen kościół.

Mała niespodzianka. Nie mam powietrza w przednim kole. Nie zabrałem ze sobą niczego do naprawy. Zresztą zawsze tak robię. Pompka, klucze – to spory bagaż jak na te drogi. Katechista radzi podpompować i zobaczyć czy będzie trzymać. Dzisiaj jest targ w wiosce, przyjechały



dwa samochody. Coś się da zrobić – dorzuca. Za chwilę koło już napompowane, trzeba trochę poczekać. Małe śniadanko, powietrze trzyma, to tylko 10 km do Ambalavato, pociesza katechista, ojciec Sierga. A więc w drogę z Panem Jezusem w plecaku (Komunia dla chrześcijan w Ambalawato). Po cichu mówię sobie: przecież jadę z moim Szeferem, właściwie nie mam czego się obawiać. Wjazd do wioski, o czym już kiedyś pisałem, to prawdziwa „Golgota”, przynajmniej dla motoru. Wioska prawie 40 km od Ankarana, ale chyba najbardziej gorliwi, głównie dzieci i młodzież. Wszyscy mnie radośnie witają. Kilka minut i kościół jest pełny. Ustalamy program, najpierw droga krzyżowa, później liturgia wielkopiątkowa. Bedzie problem z czytaniem Męki Pańskiej. Niewiele osób płynnie czyta. Mam kilka godzin czasu, ale o drzemce w południe nie ma mowy. Przez cały czas sporo młodzieży i dzieci powtarza śpiewy, czytają na głos książki, które jako małą bibliotekę dałem do każdego kościoła. Są fantastyczni, niesamowicie gorliwi, nie opuścili żadnego zebrania w Ankarana. Kościół lichutki, wymaga solidnego remontu, o ile nie nowej budowy. Natomiast ludzie tu wyjątkowo sympatyczni i ofiarni. Najdalszy kościół w moim buszu, ale najchętniej do nich jadę.

Liturgia z małymi potknięciami nawet zgrabnie poszła. Po kolacji jeszcze raz zbieramy się na modlitwie: różaniec przeplatany śpiewami. O 10.00 wieczorem delikatnie ich zachęcam do pójścia do domów. Widzę, że nie bardzo mają ochotę, ale wiedzą, że nie mają wyboru.

WIELKA SOBOTA. O 6.00 rano, z małym poślizgiem modlimy się, mała katecheza z obrazkami i Komunia św., którą zakonsekowałem w Wielki Czwartek. Małe śniadanko i z Komunią jadę do starszej pani Marii Angele – Chinki. W tym regionie jest sporo Chińczyków, którzy trzymają w rękach cały biznes, czyli handel, i to już od wielu lat. Większość z nich już tutaj się urodziła. U Babci jak zwykle kawka i herbatniki.

Dalej w drogę do Alam-bazaha. Po drodze członkinie Róż Żywego Różańca plewią rabatki wokół grotty Matki Bożej. Zatrzymuję się, chwila rozmowy – i dowiaduję się o smutnym wydarzeniu. Żona katechisty, z wioski do której jadę, zmarła nad ranem. Już wiem, że program zawieszony, ale jadę odwiedzić katechistę, pomodlić się, złożyć kondolencje. Do tej pory modliliśmy się w szkole, kościoła jeszcze nie zbudowaliśmy. Przed szkołą czeka na mnie mąż nauczycielki. Idzie-

my do katechisty, czyli kilka razy przeprawiamy się przez ryżowiska. Pot się leje, kilka podejść pod górę. To tylko pół godziny. Sporo ludzi już się zgromadziło. W chałupie zmarłej pełno płaczących kobiet. Robią mi miejsce. Zero przewiewu. Krople potu z czoła spadają na książeczkę do modlitwy. Zmarła jeszcze nie była ochrzczona, ale kilka razy widziałem ją na modlitwie w szkole. Po modlitwie idziemy do drugiego domu, wręczam symboliczną kopertę i mówię kilka słów otuchy. Po chwili przynoszą mi spory kawałek wołowego mięsa. Praktycznie nie ma pogrzebu bez zabicia sztuki bydła. Ilość zabitego bydła zależy od zamożności rodziny zmarłego.

Wracam po motor i do Ankarana. Po południu jadę do Efatsy na liturgię wielkosobotnią. Klerycy już dotarli, liturgia przygotowana.

NIEDZIELA ZMARTWYCHWSTANIA PAŃSKIEGO. Przed mszą rezurekcyjną zanoszę Komunię do chorej. Zapowiadana msza św. o godz. 9.00 dobrze opóźniona. Mam ochotę zrobić procesję wokół kościoła, ale wówczas „zawalę” program w Eroka, gdzie zapowiedziałem też mszę o 12.00. O godz. 11.00 wyjeżdżam z Efatsy. Klerycy zostają na obiad i na lavanty (licytację płodów rolnych przyniesionych przez wiernych, głównie trzciny cukrowej i bananów w celu zasilenia kasy kościelnej). Później dowiaduję się, że bardzo blado wypadła ta licytacja, ludzie teraz nie mają pieniędzy.

By dojechać do Eroka, trzeba przejechać przez Ankarana; chociaż to sąsiadujące wioski, ale droga możliwa tylko na piechotę, wiadomo – ryżowiska. Najpierw wspinam się motorem 200 metrów pod górę, ślisko, by za chwilę znów zjechać 200 metrów w dół. Na szczęście bez przygód. Prawie natychmiast rozpoczynamy mszę. Zaledwie kilka osób jest do spowiedzi. Siedemnaście chrztów, część dzieciaków płacze, starsze rozrabiają. Trochę żałuję, że nie wziąłem mikrofonu. Msza św. na placu przed kościołem, który jest za mały, a blacha na dachu też dobrze nagrzana. Obok kościoła dymiące garnki. Prawie każde święto jest połączone ze wspólnym posiłkiem. Bardzo tu rodzinnie i swojsko. Po obiedzie wracam do Ankarana by obejrzeć występy grup parafialnych. Na zakończenie Przewodnicząca Kościoła Endriny-Haja (Mama Hadzy) rozdaje cukierki, które otrzymałem od Ofiarodawców z Polski. Wieczorem uroczysta kolacja z ks. Innocentym i klerykami, którzy wrócili z buszu cało i zdrowo.

13.06.2014. Już jestem na łączach. Właśnie przyjechałem (tym razem motorem); uśmiejecie się jak powiem, że zmarzłem. W pełni zima, na zewnątrz około 20°C, gorzej nad ranem. Jutro przesiadam się na taksówkę, by dojechać do Ambila (115 km) na zastępstwo ks. Witolda Oparcika. Obiecane! Kilka dni będę u niego, by namalować św. Franciszka do kaplicy w buszu. Też obiecane. Budowy się kręcą jak w betoniarni malgaskiej, tzn.: łopata, piasek, cement i wio! Do końca zimy malgaskiej mury będą stały. Zakończenie budowy, jak Pan Bóg pozwoli, w grudniu. Tu się nikt nie spieszy, terminy nie ścigają, więc „bezzawałowo”. I tak to będzie rewelacja jak na tutejsze warunki. Zakupiłem 10 ton cementu, jest już na terenie budowy. Ekipa jedna (3 murarzy i 5 pomagierów) – wahadłowa. Raz w Bema (dwa tygodnie), tydzień w Ankarana z żonami i dziećmi, później Namohora kilka tygodni itd. Nie czuję się patronem, ale wiadomo ...oko pańskie konia tuczy.

16.06.2014. Już jestem w Ambila. Jazda w stylu malgaskim. Samochód – omnibusik, oczywiście przeładowany. Dla ostatnich pasażerów siedzenie – deska. Nawet nie usunęli gwoździ, tylko lekko zagięte. Deskę należy położyć między siedzeniami, które są oddzielone korytarzem. Czyli nie ma korytarza. Po drodze mijamy posterunki policji i żandarmów, około dziesięciu. Na każdym posterunku trzeba coś dać w „łapę”. Niby, że sprawdzają dokumenty, ale w dokumentach jest łapówka. I już wszystko OK. To tylko 100 km, w tym 20 km to doły, dziury i błota. Co chwilę dzielnie szorujemy podwoziem po resztkach asfaltu, którego grubość nie przekracza dwóch centymetrów. Kilka postojów na wysiadkę i załadunek pasażerów z kurami i indykami. Po drodze skręcanie i małe poprawki podwozia, zmiana przebitego koła i 9 km przed Manakara (punkt docelowy)... zabrakło paliwa. Jako jedyny *vazaha* (biały), „demonstracyjnie” wysiadłem i załapałem się na samochód, który wiozł delegę (odpowiednik wyższego urzędnika państwowego), który był dobrze podpity, ale jeszcze w ręce trzymał butelkę z rumem i po drodze sobie doprawiał. Kierowca zawiózł mnie na stację samochodów taxi i dalej 18 km, już solidnym samochodem do Marofarihy oraz kilometr na piechotę do Ambila. Wyjazd był o 10.30, a do Ambila dotarłem o godzinie 17.00. To tylko 119 km! Po drodze jadłem kawałki smażonej kury, kawę, banany

opiekane w cieście, mandarynki i kwaskowo-słodki owoc kresolu. Czyli „wesoły autobus”.

W Ambila działa Internet, więc mam kontakt z Wami. Wracam, chyba w czwartek. Dzisiaj zabieram się za malowanie. Najpierw będę próbował uruchomić samochód ks. Witolda, ale obawiam się, że szczury poprzegryzały instalację elektryczną. W samochodzie, w kabinie, pełno bobków szczurzych. Samochód od dwóch miesięcy na kołkach.

24.06.2014. Kredyt na Internet mi się skończył – piszę już z Farafangana. Przyjazd oczywiście z przygodami, czterema samochodami. Wyjazd z Mabila o 8.00. Samochód-taxi zapala na styk dwóch kabli, wszystko się trzęsie, tylko patrzeć jak silnik odpadnie. Drzwi trzeba trzymać rękami, bo inaczej się nie zamkną. Dojeżdżamy do Marofarihy, dzień targowy, czekamy na pasażerów by uzupełnić miejsca. Ponad godzinę już stoimy i czekamy. Na szczęście przejeżdżał ks. Rechelin (Malgasz) i zabrał mnie swoim wozem do Manakara. Tutaj przesiadka na autobus do Farafangana. Chwila czekania, pełen komplet pasażerów (nie ma tutaj godzin rozkładu jazdy, taxi rusza gdy jest pełen stan). Dojeżdżamy do Voipeno, kierowca mówi, że musi zaglądnąć do silnika. Wszyscy spokojnie siedzimy. Za chwilę widzę, że chłodnica już wymontowana, po chwili na drodze leżą inne części samochodu. Z ciekawości wychodzę, by zerknąć pod maskę. Jest niewesoło: kilka śrub urwanych, połamany wentylator. Kierowca uspokaja, że za godzinę samochód ruszy. Ja widzę, że naprawa może potrwać co najmniej kilka godzin, o ile będą części. Szybka decyzja: wysiadka. Szukam innego samochodu, nieważne, że opłata za przejazd przepadła. Pozostało jeszcze 60 km. Szybko łapię inny samochód-taxi i o 13.00 jestem w Farafangana. Do południa małe zakupy: łopaty, młotki, strugi (kilka tygodni temu ktoś się włamał do starej stolarni i ukradł kilka narzędzi). Zaglądnę do banku, wiadomo koniec miesiąca, wypłaty dla pracowników i po obiedzie wracam motorem do Ankarana.

07.07.2014. Piszę z chałupy w Ankarana. W poniedziałek jadę do Farafangana na zebranie pastoralne z biskupem z Mananjary, więc wyślę ten e-mail. Co u mnie? Właśnie skoczyło się spotkanie formacyjne dla katechistów. Tłumów nie było, frekwencja 50%. Najczęściej powodem nieobecności jest pogrzeb, obrzezanie, ktoś choruje w ro-

PAPIESKIE DZIEŁO ŚW. PIOTRA APOSTOŁA – jedno z czterech Papieskich Dzieł Misyjnych – w centrum stawia troskę o powołanych do kapłaństwa i życia konsekrowanego w młodych Kościołach na terenach misyjnych. Bez obecności lokalnych kapłanów nie można bowiem mówić o prawdziwym wzroście miejscowego Kościoła. PDPA od ponad 120 lat duchowo i materialnie wspiera kształcenie i formację seminarzystów oraz kandydatów do zgromadzeń zakonnych w krajach misyjnych, a także pomaga w budowie i wyposażaniu seminariów oraz domów formacyjnych na misjach. Otacza opieką blisko 800 seminariów (ok. 73 tys. seminarzystów) oraz 6,5 tys. nowicjuszy i nowicjuszek.

Wobec ogromu potrzeb ewangelizacyjnych PDPA w Polsce pragnie poruszyć jak najwięcej serc, aby żadne powołanie w krajach misyjnych nie zostało utracone. W dniu 1 października 2013 r. – we wspomnienie św. Teresy od Dzieciątka Jezus, patronki misji – rozpoczęła się ogólnopolska akcja AdoMiS, czyli Adoptuj Misyjnych Seminarzystów. Opieką pragniemy otoczyć wszystkie seminaria i nowicjaty na terenach misyjnych, a szczególnie dwa seminaria wyższe: św. Jana Marii Vianneya w diecezji Moramanga na Madagaskarze oraz św. Augustyna w diecezji Iquitos w Peru.

W adopcję można włączyć się poprzez:

1. codzienną modlitwę za adoptowanych seminarzystów;
2. wybór formy pomocy finansowej:
 - adopcja wspomagająca – dowolna suma wpłacona w dowolnym czasie,
 - adopcja stała – zadeklarowana składka miesięczna,
 - adopcja grupowa – zadeklarowana składka miesięczna wspólnoty lub grupy znajomych;

Chcemy stworzyć rodzinę osób, które wspólnie pospieszą z pomocą przyszłym kapłanom i osobom konsekrowanym. W akcję AdoMiS mogą włączyć się wszyscy – poszczególne osoby, ale także grupy parafialne, wspólnotowe czy koleżeńskie. Ty także możesz bardzo wiele zrobić, aby żadne powołanie nie zostało zmarnowane. Akcja AdoMiS jest także dla Ciebie.



Adoptuj Misyjnych Seminarzystów



www.adomis.missio.org.pl

Papieskie Dzieło św. Piotra Apostoła

Skwer Kard. St. Wyszyńskiego 9,
01-015 Warszawa, tel. 22-536-90-31
adomis.missio.org.pl



MODLITWA ZA POWOŁANYCH

Stwórco świata, Panie żniwa, poślij do serc spragnionych Miłości głosicieli Ewangelii. Niech tam, gdzie misjonarze posiali pierwsze ziarna nadziei, Twoja łaska otworzy młode serca na wezwanie do służby Bożej. Spraw, by nie zabrakło podczas ich formacji odpowiedniej pomocy duchowej i materialnej. Otocz swoją opieką i prowadź do szczęśliwego spełnienia wszystkie powołania na terenach misyjnych, a szczególnie objęte przeze mnie adopcją w Peru i na Madagaskarze. Uczyń owocną ich przyszłą służbę Bogu i ludziom. Maryjo, Matko Powołanych, otocz opieką seminarzystów, nowicjuszy i nowicjuszki na terenach misyjnych.

Królowo Apostołów – módl się za nami!



dzinie, problem w wiosce itd. Tego nie da się przeskoczyć. I tak ich podziwiam, że przychodzą prawie co miesiąc. Muszą sobie przynieść jedzenie. Praktycznie trzy dni poza domem. Nie otrzymują od Misji żadnej pomocy, jedynie wierni na miejscu wspierają katechistę symbolicznymi darami-ofiarami pieniężnymi.

Budowy w toku. Już 6 ton cementu poszło w fundamenty i początki murów. Pogoda kiepska, zimno i pokropuje, ale trzeba się ruszać, no nie? W każdą niedzielę, po mszy w Ankarana, jadę motorem by „chwycić” chrześcijan w buszu. W tygodniu ciężko ich pozbiierać.

25.07.2014. Wczoraj przyjechałem do Farafangana. Jak zwykle samochód załadowany (20 osób i bagaże). Ludzie nie mają częstej okazji, by samochodem wydostać się z Ankarana. Najgorsze pierwsze 15 km. Później już łatwiej o samochód, bo na trasie Fyrafangana-Vaigandrano ruch jest większy. Przez kilka dni sporo deszczu, droga w kilku miejscach to czerwona glina, najgorzej z podjazdami, ślisko, samochód traci przyczepność. Wczoraj w kilku miejscach musiałem kilka razy próbować wyjechać pod górę: cofanie, znowu rozpęd i no-



wa próba. W jednym miejscu próbowałem aż pięciokrotnie. Jeden raz wszyscy musieli wysiąść, bo zawiesiłem się na głębokiej koleinie. Mój samochód jest wyjątkowo silny, więc wszystko dobrze poszło. Powoli przyzwyczajam się do takiej jazdy. Myślę poważnie o tym, by wraz z młodzieżą naprawić kilka najgorszych miejsc. Władze lokalne zupełnie się tym nie interesują.

Inny problem to bezpieczeństwo na tych 15 km. Teren praktycznie niezamieszkały, trochę lasów, sporo zarośli i krzaków. Było już kilka napadów na pieszych. Najczęściej padały łupem pieniądze i rzeczy osobiste, ale były też i ofiary śmiertelne. Ludzie boją się iść w pojedynkę, nawet mężczyźni. W okolicy krąży niebezpieczny bandyta Zapy, postrach tutejszej ludności, ma już na sumieniu kilka morderstw. Można powiedzieć, że jest płatnym mordercą, za niewielkie pieniądze (powiedzmy 150.000 fmg – około 50 zł) może zastrzelić każdego. Jest dobrze uzbrojony. Oczywiście tutejsi żandarmi są bezradni, czekają chyba aż Zapy sam się do nich zgłosi. To są realia tutejszej ludności, trzeba z tym się pogodzić. Pozostaje jedynie modlitwa. Będę z dziećmi z grupy eucharystycznej modlił się przy grocie Matki Bożej obok kościoła w tej intencji.

28.08.2014. Kilka wiadomości z Ankarana. Najpierw wielkie przygotowanie do odpustu ku czci Matki Bożej de Pouy, który ustaliliśmy na 15 sierpnia. Oprócz zaproszenia wszystkich chrześcijan na to święto, postanowiliśmy w przeddzień zorganizować kiermasz – parafiadę (by podreperować kasę kościelną). W programie były gry, loteria fantowa, wykupienie obiadu. Chrześcijanie z Ankarana (każda rodzina) zobowiązali się ofiarować kilogram ryżu, drzewo do gotowania i kurę. Prawie wszyscy spisali się na medal. Niestety, pogoda w przeddzień odpustu była fatalna. Przelotne deszcze zniechęciły wielu do przyjazdu z buszu. Największą atrakcją była loteria (zabawki, przybory szkolne, które otrzymałem z Polski). Wieczorem do 23.30 *antsam-panahy* (śpiewy religijne), spowiedź, msza św., chrzest pięciorga młodzieży, która rano miała przystąpić do I Komunii Świętej.

15 sierpnia uroczysta msza św. i I Komunia św. dziewięciu osób. W południe obiad z przedstawicielami wszystkich kościołów i po południu tańce tutejszego plemienia Atysaka. Wieczorem video.

Rano po śniadaniu pielgrzymka (86 osób) do Avangaindrano. To tylko 42 km, ale podzieliliśmy ją na dwa etapy. Najpierw Mahabo (cztery godziny na piechotę). W pierwotnym planie miałem iść razem z uczestnikami pielgrzymki, ale Najwyższy zdecydował inaczej. Od kilku dni odczuwałem bolesne klucie w prawym kolanie. Każdy krok sprawiał mi trudności, więc pozostał tylko samochód. Tak więc załadowany bagażami pielgrzymów (za dużo tych bagaży nie mieli, najczęściej coś do przykrycia, coś z ubrania na zmianę i talerz z łyżką). Kilka garnków do gotowania, ryż, olej i makaron dopełniły bagaże. Każdy uczestnik pielgrzymki musiał przynieść ryż i symboliczną opłatę na dodatek do ryżu. Wiele osób już uczestniczyło w ubiegłorocznej pielgrzymce do Katedry w Farafangana. Chyba trochę złapali tzw. bakcyła, chociaż tradycji pielgrzymkowej jako takiej na Madagaskarze nie ma, nawet księża malgascy trochę się dziwili i pytali o co tu chodzi. Oczywiście nikt nas po drodze nie witał, nikt też niczym nie częstował. Na drodze do Avaingandrano – „stolicy” Antysakow, ogólne zdziwienie, zwłaszcza gdy ze śpiewem wchodziliśmy do miasta. Większość uczestników przybyło tutaj po raz pierwszy. Noclegi w salach szkolnych czy parafialnych. Zorganizowanie pielgrzymki tutaj jest sto razy łatwiejsze niż w Polsce.

Większość pielgrzymów miała do pokonania w obydwie strony ponad 80, a niektórzy z dalszego buszu prawie 130 km. Nikt nie skarżył się na zmęczenie, na otarcia nóg, prawie wszyscy szli boso, tylko przed wejściem do miasta założyli jakieś klapki. Na początku pochodu ci silniejsi nieśli transparent z poprzedniego roku *Efa kristianiana aho, miova tsara ny foko* – „Już jestem chrześcijaninem, moje serce jest przemienione”. Trzech kleryków (rodem z Ankarana) czuwało w drodze, by pielgrzymka miała charakter religijny. Wszyscy uczestnicy otrzymali różańce. Pogoda cudowna, atmosfera iście pielgrzymkowa. W przyszłym roku, jak Pan Bóg pozwoli, pójdziemy do Vondrozo, sąsiedniej parafii na południowy zachód od Ankarana.

Z małą wspólnotą moich parafian łączę się duchowo z Wszystkimi Przyjaciółmi Misji i czytelnikami mojej strony internetowej. Z modlitwą i proszący o modlitwę.

Ks. Marek Maszkowski CM

WIOSNA 2013 ROKU W PAPUI-NOWEJ GWINEI

Witam serdecznie, tym razem z Yongai – jeśli Pan Bóg pozwoli, parafii, którą być może wkrótce obejmie nasz nowy misjonarz, ks. Marcin Wróbel CM. Co ja tu robię? Ano wypełniam obowiązki administratora. W końcu. Po czterech latach przymiarek i prób – aż wstyd się przyznać – udało mi się w końcu znaleźć czas i poukładać tak wszystko w Fatimie, że mogłem się wyrwać do doliny rzeki Chirime na dwa tygodnie. Parę słów o tej poważnej misyjnej wyprawie. Otóż, z początkiem grudnia 2012 roku, po konsultacji z biskupem Rochusem, nominowałem księży Jana-Pawła i Piotra odpowiedzialnymi odpowiednio: za parafię w Ononge i za parafię w Yongai. Ta nominacja oznaczała, że – jeszcze nie będąc formalnie i kanonicznie proboszczami – biorą na swoje barki ciężar odpowiedzialności za te wielkie parafie, a ja będę tylko ogólnie ich doglądał i w miarę potrzeby pomagał rozwiązywać problemy.

Ks. John-Paul radzi sobie nieźle w Ononge. Bazuje oczywiście w Fatimie, ale często wyrusza do Ononge na dwu- lub trzytygodniowe patrole. Od razu widać różnicę: szkoła działa lepiej, ludzie są mniej zadziorni i agresywni. Ostatnio JP (*czytaj: Dżej-Pi*) poleciał do Mosby, zakupił ławki i krzesła do dwóch nowo wybudowanych ale jeszcze nieużywanych sal lekcyjnych, systemy solarowe dla wszystkich nauczycieli i wrócił z tym sprzętem prosto do Ononge. Ale była radość! Po pierwsze, od wielu lat nic takiego dobrego w Ononge się nie wydarzyło. Po drugie, to pierwszy w historii diecezji w górach lokalny ksiądz, który „coś robi”. A to w sumie tylko początek, bo w lipcu, z pomocą naszą i naszego cieśli, zaczyna budowę wielofunkcyjnej sali parafialnej, która zastąpi tymczasową szopę, w jakiej od 1997 roku aż do dziś odprawia się nabożeństwa, po tym, jak cyklon Justin zdmuchnął piękny kościółek św. Joanny D’Arc. Rozpisałem się trochę o księżu Janie-Pawle, bo to w pewnym sensie nasz misjonarski i wincentyński najbardziej znaczący wkład w rozwój Kościoła w diecezji Bereina, i w Papui Nowej Gwinei. Teraz rozumiem to doskonale i jasno. Przynajmniej tutaj w PNG, nie ma nic cenniejszego z pracy misjonarzy, niż chociaż jeden lokalny ksiądz, który się do czegoś na-

daje. John-Paul złapał kapłańskiego misyjnego „bakcyła”. Polecam go Waszej modlitwie, żeby się nie zepsuł...

Ksiądz Peter, nominowany do Yongai, religijnie najlepszej parafii w Goilala, a może i w całej diecezji, po jednej adwentowo-bożonarodzeniowej wyprawie, niestety się „wykruszył”. Nie wytrzymał psychicznie – tak bym to delikatnie określił. Tym sposobem Yongai znów pozostało bez księdza. I tak już, z malutkimi przerwami, trwa ta sytuacja ze 40 lat... Taka pobożna parafia, w 100% katolicka, a tak cierpi. Co dostaną jakiegoś księdza, to albo „ancymon na zesłaniu”, albo za słaby, albo do niczego. A tutaj zdrowie trzeba mieć i kręgosłup w porządku, bo jest się samemu w środku niedostępnych gór w sercu dżungli. Zero łączności, a do najbliższego lądowiska z jakimś w miarę regularnym połączeniem lotniczym – przynajmniej dwa dni ciężkiego marszu.

Dotarłem tutaj z Fatimy w trzy dni. Tuż po odpuście w Fatimie wyruszyłem z Woitape z przypadkowymi ludźmi z Yongai – właściwi przewodnicy nie dotarli, bo załamanie pogody zatrzymało ich po drugiej stronie Murray Pass. Wyszliśmy późno, tuż przed 10.00, gdyż żegnaliśmy mamę ks. Jana-Pawła, która nas odwiedziła z okazji odpustu. Siedem godzin ciężkiego marszu, łącznie około 1.400 metrów przewyższenia, ze 40 km na liczniku... i całkiem miły biwak na alpejskiej łączce w zacisznej dolince, poniżej Murray Pass. To przełęcz w masywie Owen Stanley, który to masyw oddzielał kiedyś Papuę od Nowej Gwinei i wciąż dzieli ten kraj na dwie części połączone tylko drogą powietrzną. Przełęcz Murraya wznosi się na wysokość około 3.300 m n.p.m. Jest ona najniższym i względnie dostępnym „przesmykiem”, przez który można się przedostać na drugą stronę. W latach 30-tych poprzedniego wieku misjonarze zbudowali szlak karawanowy przez tę przełęcz i tak weszli z Ewangelią do doliny Chirime. Warto wspomnieć, że karawana mułów i koni potrzebowała przynajmniej 17-18 dni, by z wybrzeża dotrzeć z zapasami do Yongai. Nierzadko zdarzało się, że część zapasów wraz z koniem, mułem, czy nawet misjonarzem ginęła w przepaściach. To była najpóźniej zewangelizowana część Goilala. Później, w latach 70-tych, w zboczu góry powyżej stacji w Yongai „wydłubano” kilofami i dynamitem lądowisko dla samolotów. To najkrótszy pas startowy w Goilala i pewnie

w PNG... a może i jeden z najkrótszych na świecie. Trochę ponad 300 metrów, ostro pod górę, a u góry „półka” na której samolot może się zatrzymać, obrócić w miejscu, rozładować/załadować i przygotować do startu. Praktycznie jak lotniskowiec, tyle że pochylony około 12°, bez lin hamulcowych i katapulty. Dziś na to lądowisko nikt regularnie nie lata, bo też i nie ma po co. Nie ma księdza, nie ma szkoły, nic się nie dzieje. Choć są piloci w stolicy chętni na taki lot, bo lądowanie w Yongai jest naprawdę przepustką do elity pilotów w PNG, na Pacyfiku... no i na świecie.

Drugiego dnia w dwie godziny na Przełęcz, szybkie zdjęcia, bo wieje i zimno jak zwykle, a potem w dół do doliny, w pierw *horse-trackiem* czyli „końską ścieżką”, a potem już typowo po Goilala, czyli *short-cutem* – skrótem na krechę, nieważne jak karkołomnym. Te skróty my misjonarze określamy mianem „kilerów” – zabójców naszych kolan. Możesz zasuwać godzinami po szlaku, a wejdiesz na taki skrót i po godzinie jesteś miękki w kolanach, jeśli w ogóle jeszcze możesz nad nimi zapanować. Tym to sposobem, z przełęczą w dół, 3 godziny, 1.200 metrów niżej, do pierwszej wioski w dolinie Chirime. Wioseczka mała ale słynna, bo wioska to jeden mężczyzna i 7 (słownie: siedem) żon. No i coś pod trzydziestkę wspólnego „dorobku”. Naprawdę rodzynek w skali Goilala, a myślę że i w PNG. Parę łyków wody... i ciągniemy dalej. Jeszcze trzy godzinki, luźniej, już nie tak stromo, i dochodzimy do pierwszego kościoła, tzw. *zone*, czyli po naszymu filii, Kumunga. Słyszając, że są gotowi do mszy św. i sakramentów, zostałem na noc, choć plan był taki, by dotrzeć do Yongai bezpośrednio, jeszcze dwie godziny przynajmniej, a później cofnąć się do Kumungi. Tak czy inaczej... plan swoje, a nogi swoje.

Następnego dnia, wcześniej rano, około 120 spowiedzi... do ostatniego penitenta, potem szybka próba chrztu i zaczynamy mszę św. 56 dzieci i dorosłych do chrztu, 34 dzieci do Pierwszej Komunii Świętej, trochę ogłoszeń, szybko talerz kapuchy na wodzie i w mżawce, „z buta”, do Yongai. A w Yongai... Wielkie Przywitanie, z zabiciem świni i innymi tego rodzaju tradycjami. Czekali długo na „Father Vladi”, ale się doczekali i radośnie mnie przywitali. Wieczorem różaniec i rano ostro do pracy. Spowiedź wcześniej rano: 150... do ostatniego penitenta. I koło południa msza św., 36 chrztów. Odpoczynek „przy

sobocie, po robocie”. Rano... dziś Niedziela Zesłania Ducha Świętego. Wielka msza święta, kilkadziesiąt dzieci do Pierwszej Komunii Świętej, talerz kapuchy z cebulą i odrobiną słoniny z piątkowej świni i będą zmykał do Kafano. Mówią, że niedaleko, jak do Kumungi, czyli do 3 godzin marszu. Ruszam na cały tydzień, w dół doliny Chirime, w boczne doliny i do sąsiedniej doliny: Kafano – Asimba – Asisi – Aikora – Evesa – Yongai. Zobaczymy, czy mi się uda, bo pogoda jest kiepska, a niektóre z tych przejść są masakryczne – 1.500 metrów w górę, 1.500 w dół, w jeden dzień – a ja muszę być w Yongai najpóźniej w sobotę wieczorem. W następną niedzielę, Najświętszej Trójcy, planujemy w Yongai wielką mszę świętą z sakramentem małżeństwa przynajmniej kilkunastu par. Potem wspinaczka na Murray Pass... i we wtorek, jak Bóg da, w Fatimie.

No to teraz cofnijmy się w czasie, ale krok po kroku, żeby szoku nie było. Fatima Parish Feast 2013 czyli tegoroczny odpust parafialny. Aż dwa wydarzenia duszpasterskie przygotowaliśmy, by uczcić Matkę Bożą Fatimską. Najpierw kilkudniowe przygotowanie, pierwsze takie po latach, i w sobotę przed odpustem ślub trzech par oraz odnowienie przyrzeczeń małżeńskich siedmiu kolejnych. A potem zabawa do drugiej nad ranem. Myśmy sobie prosiątko grillowali, a rodziny nowożeńców bawiły się ładnie. Około 150 gości weselnych na parkiecie... a drugie tyle przygodnych widzów za ogrodzeniem, przecierających oczy ze zdumienia, że taka fajna impreza w ich Fatimie. Niedzielną msza była nawet później, aż się każdy wyspał po wytańczonej nocy. W poniedziałek, samo święto Fatimy, uroczysta msza święta na przebudowanym skwerze Maryi Niepokalanej. Mamy teraz naprawdę ładne miejsce w Fatimie. Plac przed wejściem do naszej części stacji – Plaża Immaculata. Oczko wodne z wysepką, a na wysepce kapliczka Niepokalanej. Do tego mała fontanna, różne rośliny wodne, klomb z kwiatami, góralskie-tatrzańskie ławki do siedzenia, stoliczki, kranik i korytko z wodą do picia/mycia. Wszystko wysypane żwirkiem. Z widokiem na TV i z dostępem do sklepu... po prostu klasa światowa. Czysto, schludnie, zupełnie jak nie w Papui... A tłem dla Plazy jest nowo odnowiony budynek z lat 60-tych – podwójna sala lekcyjna – St. Joseph Hall, o którym więcej nieco niżej. W wigilię Fatimy mie-

liśmy piękny wieczorny Różaniec na tym skwerze. Świece, podświetlona figurka Matki Bożej, ryby cmokające jedzące owady, gwiazdyste niebo i „Ave Maria” roznoszące się po okolicy. Ten wieczór był wart wszystkich wyrzeczeń tych czterech lat. A Maryja Niepokalana ma najładniejszy kawałek stacji. Należy się Jej!

Dwa tygodnie wcześniej uczciliśmy Jej Małżonka – Józefa Robotnika, Patrona naszej Szkoły. Pracując ostro przez niemal trzy miesiące, odnowiliśmy od podstaw stary zrujnowany budynek, w którym szkoła się zaczęła, 50 lat temu. Wymiana okien, przeróbka ścian, dachu, dorobienie półpiętra w poddaszu, nowa tapeta, cement na posadzce, tablice, półki, drzwi, szyby, zamki, plansze edukacyjne itd. itd. ... I szok dla ludzi, którzy pamiętają, jaka tam była ruina. Dach jest częściowo przezroczysty, więc w środku dużo światła. Poddasze w stylu Oxford/Harvard pod przyszłą bibliotekę i małą pracownię komputerową. Oczywiście nowe ławki i krzesła, przerobiona weranda, dostępna tylko dla uczniów. Jednym słowem, kolejne dwie sale lekcyjne w bardzo wysokim standardzie, niezwykłym dla PNG. W tych odnowionych salach uczą się teraz uczniowie klas „6” i „7”... i pozostaną tam na przyszły rok, bo ten budynek docelowo jest pomyślany dla „7” i „8” klasy naszej szkoły. Mamy szczęście, bo w tym roku mamy nauczycieli dla każdej klasy, a ci dwaj uczący „6” i „7” sprawują się bardzo dobrze i widać, że szanują naszą ciężką pracę. Zdają sobie sprawę, że mają najlepsze sale lekcyjne w całej diecezji i całej prowincji.

Część prac i kosztów przy tej renowacji została pokryta przez ofiary dzieci pierwszokomunijnych z Myślenic (parafia Narodzenia NMP) i z Bydgoszczy (parafia Zmartwychwstania Pańskiego), oraz z ofiar zebranych przez kolędników misyjnych z Wiśniowej i z Myślenic. Myślę, że widząc różnicę, jaką Wasze ofiary wniosły w życie tych Waszych rówieśników rozumiecie teraz lepiej, że warto jest pomagać misjom. Bardzo Wam serdecznie dziękuję, w imieniu uczniów naszej szkoły i wszystkich, którzy będą korzystać z tego pięknego budynku.

Ks. Włodzimierz Małota CM

NIESPODZIANKA NA PIĘCDZIESIĄTKĘ



Co 10 lat w moim życiu następowała jakaś ciekawa zmiana lub nabywałem nowej umiejętności. I tak, gdy już zdmuchnąłem dziesięć świeczek na torcie urodzinowym, zostałem gorliwym ministrantem, *nota bene* po wcześniejszym okresie wagarowania na lekcjach religii. Przekraczając 20-tkę zmieniłem studia – z AGH przenieśliem się na Stradom, żeby zgłębiać teologię w Zgromadzeniu Księży Misjonarzy, co w dużej mierze zawdzięczam duszpasterstwu akademickiemu i jego duszpasterzowi, ks. Józefowi Jachimczakowi CM. Kiedy stałem się „trzydziestakiem”, jako wikariusz parafii Matki Bożej od Cudownego Medalika w Zakopanem-Olczy, dzięki wsparciu ks. proboszcza Tadeusza Lubiatowskiego CM i wytrwałości kierownika basenu w Centralnym Ośrodku Sportu zacząłem w pełni realizować ewangeliczny nakaz *duc in altum* – nauczyłem się pływać. Na 40. urodziny kupiłem sobie dwie deski, gogle i... nauczyłem się jeździć na nartach, od razu w wysokich niemieckich Alpach. To nic, że oprócz nart i cierpliwych nauczycieli – konfratrów – najskuteczniejszymi pomocami dydaktycznymi okazały się gęsta mgła i... grzane wino.

Zbliżała się pięćdziesiątka, ale nic nie zapowiadało zmiany. Aż do 17 kwietnia 2013 roku, kiedy to w mojej skrzynce pocztowej pojawił się e-mail pod tytułem: „Richiesta di Padre Generale”. Zignorowałem go, myśląc, że to cykliczny ogólny apel Ojca Generała, zapraszający konfratrów do wyjazdów na misje. Jakież było moje zdziwienie, gdy parę dni później, po pielgrzymce maturzystów do Częstochowy, ro-

biąc porządki na koncie poczty, otworzyłem list i przeczytałem skierowane do mnie słowa: „Caro Padre Jacek”, a potem ciąg dalszy: *Abbiamo ricevuto la petizione del Presidente della Conferenza Episcopale di Papua Nuova Guinea, che cerca i formatori (concretamente un Rettore) per il Seminario Maggiore interdiocesano, dove hanno lavorato i nostri confratelli (adesso ci si trova solo uno). Noi abbiamo pensato a te, come una persona adatta per questo incarico. Ti allego la lettera del vescovo. Puoi farci saper, che cosa tu pensi di questa possibilità e proposta*¹. No to pięknie. Totalna niespodzianka. Nadchodził dwunasty rok pracy w „Radosnej Nowinie”, początek trzeciej pięcioletniej kadencji dyrektora Liceum, a tu taka szokująca propozycja. Choć czasem mówiłem w żartach o wyjeździe na misje do seminarium na Wyspach Salomona, szczególnie po wizycie w naszej piekarskiej szkole ks. Marka Owsiaka CM, który przepracował 5 lat we wspomnianym seminarium duchownym, tym razem nie był to żart, tylko konkretna propozycja, i to od samego Ojca Generała.

Miałem przed sobą kilka tygodni na zastanowienie, refleksję i modlitwę – słuchanie Ducha Świętego. O ile dobrze pamiętam, jeszcze w tym samym dniu, w którym dotarła do mnie owa niezwykła propozycja, w kaplicy domu w Piekarach przeczytałem na ekranie telefonu komórkowego pewną „podpowiedź”, zawartą w opublikowanym w tym czasie liście kard. Bergoglio skierowanym do wiernych z Buenos Aires: „Kościół, który nie wychodzi na zewnątrz, wcześniej czy później zapada na chorobę z powodu skażonego powietrza pomieszczeń, w których się zamknął”. Ojciec Święty jednocześnie wyznał, że choć niekiedy wyjście na ulicę może narazić na wypadek, to woli on znacznie bardziej Kościół po wypadku niż chory². Kilka dni później dotarły do mnie inne słowa papieża wypowiedziane podczas mszy św. sprawowanej w domu św. Marty 8 maja 2013 r.: „Prośmy dzisiaj Pawła, aby dał nam tę odwagę apostołską, ten zapał duchowy, to poczucie pewności (...). Ci, którzy nie wyru-

¹ Otrzymaliśmy prośbę od przewodniczącego Konferencji Episkopatu Papui Nowej Gwinei, który poszukuje wychowawców (konkretnie rektora) dla Wyższego Seminarium Międzdioccezjalnego Duchownego, w którym pracowali nasi konfratry (obecnie jest tam tylko jeden). My pomyśleliśmy o tobie, jako o osobie odpowiedniej na to stanowisko. Dołączam ci list biskupa. Daj nam znać, co myślisz o tej możliwości i propozycji.

² Zob. <http://www.deon.pl/religia/serwis-papieski/aktualnosci-papieskie/art,238,franciszek-wole-kosciol-po-wypadku-niz-chory.html>.

sążą w drogę, aby nie popełnić błędu, popełniają błąd jeszcze poważniejszy” – stwierdził na zakończenie swego kazania Franciszek³.

I tak, po rozmowach z Ojcem Generałem i Księdzem Wizytatorem, postanowiłem podjąć się nowego, bardzo odpowiedzialnego i niełatwego wyzwania, w myśl powiedzenia bł. kard. Johna Newmana: „Życie to zmiany, a życie doskonałe, to częste zmiany”⁴. Moja sprawa z dyskretnej stała się publicznym newsem. Ksiądz Bronisław Sieńczak CM napisał we wprowadzeniu do pamiątkowego albumu wydanego z okazji dziesięciolecia Liceum w Piekarach, że „tsunami przeszło nad »Radosną Nowiną«”. Komentarze przyjaciół oraz bliższych i dalszych znajomych po ogłoszeniu mojej decyzji były skrajnie różne. Jedni, np. moi amerykańscy przyjaciele, mówili – „fantastyczna decyzja”, inni – „to bardzo źle”... Przed wyruszeniem do Papui Nowej Gwinei na dwumiesięczne rozpoznanie i przygotowanie dokumentów do pozwolenia na pracę odbyłem jeszcze wraz z ks. Piotrem Klimczakiem CM dziesięciodniowe rekolekcje w Ziemi Świętej.



³ Zob. <http://www.deon.pl/religia/serwis-papieski/aktualnosci-papieskie/art,325,papiez-mamy-prowadzic-dialog-ze-wszystkimi.html>.

⁴ Zob. <http://www.siostrytereski.com/index.php?p=main&id=141&ak=4&what=43>.

Mieszkając w domu zaprzyjaźnionej rodziny z Jerozolimy, spokojnie, bez wycieczkowego pośpiechu, nawiedziliśmy miejsca związane z życiem i działalnością Pana Jezusa – od Betlejem, poprzez wybrzeża Morza Martwego i okolice Galilei, po Jerozolimę.

Po wielu miłych i czułych pożegnaniach w „Radosnej Nowinie” i domu rodzinnym 26 sierpnia opuściłem Kraków. Nie mogłem w tak ważnym dniu nie wstąpić jeszcze do Matki Bożej Częstochowskiej. Polski biskup, misjonarz z Republiki Południowej Afryki, który przewodniczył koncelebrowanej także przeze mnie mszy św. odpustowej, powiedział mi: „jak ci tam będzie źle, to przyjeżdżaj do mnie”. Następnego dnia, wyposażony w wizę turystyczną na 2 miesiące, będąc już w kontakcie telefonicznym z ks. Włodzimierzem Małotą CM, moim przyszłym superiorem, rozpocząłem 33-godzinną podróż z warszawskiego lotniska na pokładzie samolotu katarskich linii lotniczych. To był piękny lot nad dwiema historycznymi i biblijnymi krainami – turecką Kapadocją oraz Mezopotamią – z widokami z wysokości 11.000 m na rzekę Tygrys i porozrzucane po pustyni miasta, o których wiemy, że były kolebką naszej wiary, bo z jednego z nich, z Ur, pochodził Abraham.

Parogodzinne oczekiwanie na katarskim lotnisku w Doha wykorzystałem głównie na rozmowy z rodziną i znajomymi przez Skypa, bo na lotnisku był bezpłatny i szybki dostęp do Internetu. Drugi odcinek podróży był już nieco dłuższy i męczący, choć muszę dodać, że dziewięciogodzinny lot większym samolotem, Boeingiem 777, przebiegał nad wyraz spokojnie – w kabinie cichutko, dwa obfite posiłki, duży wybór filmów i drzemka. I jeszcze szybkie przesunięcie w czasie, bo wystartowaliśmy o drugiej w nocy, a do stolicy Filipin, Manili, dolecieliśmy o piątej po południu. Znów parę godzin czekania i ok. 22.00 w nocy rozpocząłem ostatni etap misyjnej podróży na pokładzie mniejszego już Boeinga, należącego do papuaskich linii lotniczych, Air Niugini. No i po raz pierwszy poczułem swoisty, inny klimat. Samolot już nie pierwszej młodości, za to bardzo miłe i doświadczone w swoim zawodzie stewardessy z ujmującym uśmiechem serwujące ręcznie pakowane posiłki. Samolot brnął (to odpowiednie słowo) przez całą noc, aż 29 sierpnia 2013 r. o piątej rano miejscowego czasu twardo wylądował na jedynym międzynarodowym lotnisku w stolicy Papui Nowej Gwinei, Port Moresby. Jeszcze tylko kontrola bagażu,

miła rozmowa z kontrolerem (miejscowy pan kontroler, nie mogąc się zapewne oprzeć smakowym walorom polskich wyrobów wędliniarskich, wziął sobie „na pamiątkę” kawałek szynki i kilka zafoliowanych kabanosów, które odkrył po otwarciu mojej walizki) i... po raz pierwszy stanąłem na papuaskiej ziemi.

Przy wyjściu z terminala lotniska czekał już na mnie ks. Włodzimierz, pracujący tutaj od 7 lat w górach, wśród ludzi Goilala. Po długiej podróży musiałem być w niezłej kondycji – świadczy o tym pierwsze zdjęcie zrobione mi przez Włodka na lotnisku. Po szybkim odświeżeniu odprawiliśmy razem mszę św. dla wspólnoty sióstr i osób świeckich. W czasie śniadania odkryłem rzecz niesamowitą: oto z „Radosnej Nowiny” przyjechałem do... „Radosnej Nowiny”, gdyż tak właśnie przetłumaczono mi napis „Sivarai Namona” znajdujący się na budynku centrum duszpasterskiego, w którym pracują filipińskie siostry.

Chciałem poznać jak najszybciej dzielnicę Bomana, więc zaraz po śniadaniu pojechaliśmy do miejsca mojej przyszłej pracy, czyli do Seminarium Ducha Świętego. Tu, w towarzystwie ks. Włodka, spotkałem się z obecnym rektorem Seminarium ks. Piotrem Artikenem oraz jego współpracownikami i otrzymałem klucze do pokoju gościnnego, w którym miałem spędzić najbliższe dwa miesiące.



Od pierwszego dnia ks. Włodek był nie tylko moim misyjnym superiorem, czyli przełożonym, ale życzliwym i cierpliwym przewodnikiem po jakże nowej dla mnie rzeczywistości Papui Nowej Gwinei. Po południu pierwszego dnia odbyliśmy pierwszą przejażdżkę po niezwyklej stolicy tego kraju. Są tam sklepy, niektóre całkiem przypominają nasze, europejskie, wszystko można kupić, jedynie ceny są co najmniej dwukrotnie wyższe od polskich, bo większość produktów musi zostać sprowadzona z Australii lub Nowej Zelandii, więc trzeba doliczyć koszty transportu. Tak dla przykładu, litr mleka w kartoniku to 5 kina, czyli ok. 8 zł – cóż, trzeba się do tego przyzwyczaić i kupować tylko to, co konieczne do życia. Oprócz niezbędnych przedmiotów nabyliśmy na rynku ładny, starannie wybrany bilum, czyli ręcznej roboty torbę, z którą większość mieszkańców chodzi wszędzie, nosząc w niej zakupy. Był to znak, że, choć biały, przestałem być kompletnym turystą-nowicjuszem. Kupiliśmy także modem, który umożliwia w Papui dostęp do Internetu poprzez sieć telefonii komórkowej Digi-cell. Łącząc się z netem, liczy się każdy megabajt, bo jeśli w promocji uda się kupić pakiet po 8 groszy za megabajta, to jest bardzo tanio. Wieczorem, wraz z dwoma innymi misjonarzami, ks. Włodkiem i Filipińczykiem ks. Mannym Lapaz, zostałem zaproszony na powitalną kolację w europejskim klimacie pizzerii Ela Beach. To był długi dzień, więc chętnie położyłem się w gościnnym seminaryjnym pokoju, pod moskitierą, by uchronić się od malarycznych komarów, które bezboleśnie i bezszelestnie kęszą tylko w nocy. Mimo długiej podróży mój organizm jeszcze całkiem się nie przestawił i, odczuwając ośmiogodzinną różnicę czasu, nie mogąc zasnąć, słuchałem w czasie tej pierwszej nocy na Antypodach niezwyklej symfonii śpiewu ptaków, szczekania psów i innych, nieznanym mi miejscowych odgłosów.

Drugiego dnia (jak i każdego następnego) słońce weszło bez niespodzianki o godzinie szóstej i o tej też godzinie rozpoczęła się wspólna modlitwa brewiarzowa w seminaryjnej kaplicy, a po niej półgodzinna medytacja w ciszy. Podczas seminaryjnej mszy św. zostałem przedstawiony braciom klerykom, obecnym w liczbie 46, a pochodzącym z 14 diecezji Papui Nowej Gwinei.



Moim zadaniem na te dwa miesiące było wejście w życie seminarium, choć ciągle czułem się turystą, bo na wizie turystycznej. Spotykałem się i rozmawiałem z księżmi pracującymi w seminarium, obecnym rektorem, który po 13 latach pracy zapragnął już zmiany, z pracującym od 3 lat jako wychowawca i wykładowca ks. Mannym oraz z miejscowymi księżmi, ojcami duchownymi. Rozmawiałem z wieloma ludźmi, poznając „od podszewki” sytuację w seminarium. Spotykałem się z klerykami, szczególnie z ostatniego roku – niektórzy z nich zagadywali mnie po polsku, bo od polskich misjonarzy nauczyli się paru zwrotów podczas wcześniejszych lat seminarium. Tak kształtowało się moje spojrzenie na pracę w seminarium duchownym. Powoli odkrywałem, że moja praca tutaj będzie miała rzeczywiście sens, że ciągle jest tu potrzebna obecność białego człowieka.

Należałoby zapytać, dlaczego po kilkunastu latach zarządzania seminarium przez miejscowych księży przewodniczący miejscowej Konferencji Episkopatu, abp John Ribat, zwrócił się do naszego Zgromadzenia o objęcie zarządu nad tym seminarium. Otóż, powód wydaje się następujący: miejscowi, wspaniali kapłani, naprawdę do-

brzy ludzie, nie z własnej winy nie nabyli pewnych umiejętności związanych z administracją, ponieważ warunki klimatyczne, w jakich się wychowywali i kształcili, nie wymagały tego od nich. Tak dla przykładu, w klimacie Nowej Gwinei mężczyzna nie musi nabywać umiejętności ciężkiej pracy czy zaradności życiowej, bo tu wszystko rośnie i owocuje przez cały rok; wystarczy że kobieta coś wetknie w żyzną ziemię, a ta wyda plon. Nie przez przypadek kraj ten nazywany jest „krajem rajskiego ptaka”. Inny przykład? Tu, w warunkach naturalnych, wiejskich, z jakich wywodzą się miejscowi księża, nie da się... oszczędzać. Łatwo doświadcza się tego nawet w mieście. Jeżeli żywności nie schowa się na noc do lodówki, to mrówki unicestwią wszystko, co jest do zjedzenia. Kiedyś w naszej kuchni zostały płatki śniadaniowe i rano nie miałem dylematu, czy je zjeść... – ogromna liczba mrówek wymieszanych z płatkami zniechęciła mnie do śniadania skutecznie. Kiedy indziej ktoś zostawił niedokręcony słoik z dżemem, a inny pod osłoną nocy doświadczył chrupiącej słodczy, myśląc że to kawałki owoców... Te i podobne przykłady sprawiają, że miejscowi nie nabyli jeszcze umiejętności zarządzania i stąd próba i prośba, by ich wspomóc.

Problem z zarządzaniem pojawił się na tym terenie po 1975 roku. Papua Nowa Gwinea otrzymała wówczas niepodległość od Australii. Niektórzy światlejsi obywatele PNG mówili wtedy: „za wcześnie”. Wydaje się, że mieli rację, bo w kraju zaczął się ekonomiczny regres. Widziałem szkoły-widma, w których nauczyciele i dyrektor biorą regularnie wypłatę i podróżują sobie za nią po kraju, zamiast uczyć dzieci. Wszyscy są ukontentowani: nauczyciele, bo mają pieniądze bez pracy, i dzieci, bo nie muszą chodzić do szkoły. Podobne sytuacje zdarzają się w wybudowanych jeszcze przez Australijczyków ośrodkach zdrowia. Upadają elektrownie wodne, które trzeba cyklicznie konserwować, ale po wyjeździe Australijczyków nikt o tym nie pamiętał i uległy nieodwracalnemu zniszczeniu... Dobrze było, jak był prąd elektryczny, dobrze jest, jak go nie ma – zostały tylko bezużyteczne elektryczne trakcje. Ktoś pomyśli: zostawmy ich tak, jak sobie żyli kiedyś. Nic z tego! Czy chcemy, czy nie, cywilizacja dociera także tutaj i jest dla mieszkańców szokiem. Tutaj nie należy się niczemu dziwić. To, co w naszej kulturze ewoluowało powoli, przez stulecia, tutaj dzieje się w ciągu kilku lat – to ogromny, szokujący przeskok

z epoki kamiennej. I nie jest to wcale przerośnia – jeszcze kilka lat temu miejscowi używali kamiennych siekier do ścinania drzew, dziś mają komputery, internet i telefony komórkowe.

Rozmawiając z klerykami, obserwując ich, zauważyłem, że są ludźmi bardzo głębokiej duchowości dotykającej sfery ich życia codziennego. Wynika to z religijności plemiennej, w której Bóg przekazał wszelką władzę istotom niższym, czyli duchom, z którymi oni żyją na co dzień. Słuchają ich i są im posłuszni. Wielu z nich to neofici, są drugim pokoleniem chrześcijan – ich rodzice byli ochrzczeni jako dorośli ludzie. Kiedy wypowiadają się na tematy wiary i religii, można doświadczyć głębi ich wiary w Jezusa, ich autentycznego zafascynowania Jego Ewangelią.

Poza poznawaniem realiów Seminarium Ducha Świętego w ciągu trzech tygodni udało mi się skompletować dokumenty niezbędne do otrzymania pozwolenia na pracę i wizy pracowniczej. To, na co inni musieli poświęcić rok albo i dwa, dzięki pomocy doświadczonego w tej dziedzinie brata werbisty, przebiegło bardzo sprawnie. Przewodniczący episkopatu PNG i Wysp Salomona, arcybiskup Port Moresby, podpisał ze mną kontrakt, formalną umowę, że jako ksiądz Zgromadzenia Księża Misjonarzy od lutego 2014 roku będę pełnił funkcję rektora Seminarium Ducha Świętego.



Czas opowiedzieć o niezapomnianej dla mnie wyprawie poza Port Moresby. Wraz z ks. Włodkiem poleciałem na tydzień małym, 8-osobowym turbośmigłowym samolotem w góry, do Waitape, do stacji misyjnej ks. Włodka. Na dobry początek czeka mnie 25 minut ekscytującego lotu, w czasie którego – jak to ładnie określił jeden z miejscowych księży – „jesteś niedaleko Królestwa” i wreszcie wiadomo, po co w samolocie są pasy bezpieczeństwa. Na koniec lotu, będąc już blisko ziemi, przelatujemy nad filialną placówką misyjną w Ononge (6 minut lotu albo dwa dni pieszo przez góry). Na lotnisku (choć to określenie nieco na wyrost) wita nas pracujący w sąsiedniej filii misyjnej ks. Jorj pochodzący z libańskiego Bejrutu. Samolot otaczają mieszkańcy wioski. Niektórzy z nich wrócą aeroplanem do stolicy, płacąc niewielką część ceny normalnego biletu. Rozładowanie tony towaru, głównie do misyjnego sklepu. Każda paczka podpisana i ponumerowana. Na pas startowy przychodzą także uczniowie miejscowej szkoły podstawowej, ale wcale nie po to, by podziwiać samolot czy przybyłych pasażerów. Każde dziecko bierze na głowę jeden pakunek i niesie 2,5 km do stacji misyjnej Fatima. „Piękna organizacja transportu” – myślę. Jak się okazuje – jedyna możliwa, bo na drodze brak mostu i żaden pojazd mechaniczny nie dojedzie, nawet jedyny działający traktorek.

Po dojściu do stacji misyjnej witają mnie w holu nowej, niedawno ukończonej szkoły dzieci wraz z dyrektorem. Tygodniowy pobyt rozpoczynam wizytą w buszu, gdzie ze dwudziestoma miejscowymi mężczyznami wraz ze specjalistyczną ekipą ze stolicy wyrębuje potężne drzewa. Jak się dowiaduję, zostaną przetarte na deski i belki na ofiarowanym misji przenośnym tartaku. Uzyskana tym sposobem tarcica, transportowana z buszu na teren stacji misyjnej przez uczniów szkoły po zakończeniu lekcji (!), posłuży do zbudowania nowego kościoła i domu dla nauczycieli. Jest to wielkie przedsięwzięcie ks. Włodzimierza oraz całej wspólnoty parafialnej. Słowo *timber* (tarcica) jest wplatanie do każdej codziennej modlitwy w kościele (a warto dodać, że każdego dnia duszpasterz dwukrotnie spotyka się z wiernymi – tymi bardziej gorliwymi – rano na jutrzni i mszy św., a wieczorem na modlitwie różańcowej).

W wiosce przyglądam się z zaciekawieniem mieszkańcom (a oni z równą ciekawością przyglądają się mnie). Goilala to ludzie bardzo

życzliwi, prości i ubodzy, mieszkający jak przed wiekami w drewnianych chatach krytych liśćmi rośliny nazywanej *karuka*. W środku jedna izba, na środku ognisko, bo choć w dzień termometr pokazuje 30 kresek na plusie, to w nocy, ze względu na górskie położenie na wysokości 1.600 m n.p.m. temperatura spadnie do 10-12°C.

Choć przedstawiciele Goilala, którzy wyjechali i mieszkają w slumsach w stolicy, mają bardzo złą reputację (na słowa, że ktoś ma coś wspólnego z Goilala, ludzie z miasta zamierają ze strachu lub odchodzą, a od ekspedientek można usłyszeć krzyk przerażenia), ks. Włodzimierz jako ich duszpasterz stał się obecnie „nietykalny”. A doszło do tego tak: kiedyś zakupił dla muzycznej grupy duszpasterskiej drogi sprzęt muzyczny, który zaraz został... skradziony. Włodek załamał się i niezwłocznie zaczął się pakować, by opuścić placówkę. Zauważyli to wodzowie wioski. „Nigdzie ksiądz nie pojedzie, do rana wszystko się znajdzie” – oświadczyli. I cud! Sprzęt się znalazł. Wtedy wodzowie ogłosili całej społeczności, że jeśli ktokolwiek ukradnie coś ze stacji misyjnej, zostanie zabity (a skoro tak powiedzieli, to na pewno tak by się stało). Od tego czasu pokoi się nie zamyka, na stole można zostawić cenne przedmioty, np. laptopa, i nikt go nie dotknie. Takie realia. Inny świat. Jeszcze bardziej inny niż ten w stolicy.



Po tygodniu pobytu w krainie Goilala, w czasie którego bez komórki i Internetu poznawałem realia życia w górach dostępnych jedynie drogą powietrzną, a między sprawowaniem codziennej liturgii i uczestnictwem w nabożeństwach pracowałem „na grządkach” i jako pomocnik stolarza, wróciliśmy do stolicy Port Moresby. Choć nie przypuszczałem, że to w ogóle możliwe, lot powrotny okazał się jeszcze bardziej emocjonujący, bo w górskiej dolinie padał deszcz, więc pilot balansował pomiędzy wierzchołkami drzew a chmurami. Teraz, po doświadczeniu pobytu w Goilala, jakoś pewniej stąpałem po papuaskiej ziemi. Dla wszystkich mieszkańców seminarium (oprócz jednego kleryka, który odbył praktykę duszpasterską w Fatimie) Goilala było miejscem nieznanym, niedostępnym i budzącym grozę. A ja tam byłem. I wróciłem.

Kolejne dni mijały coraz szybciej, już według utartego schematu: poranne modlitwy w seminaryjnym kościele o 6.00, czyli o wschodzie słońca, potem msza św. z kazaniem, której kilka razy przewodniczyłem, głosząc słowo Boże. Następnie 2-3-godzinne zajęcia z miejscowego języka pidgin english wraz z dwoma klerykami, w domu zakonnym ojców werbistów. Warto na marginesie dodać kilka zdań na temat specyfiki języka, jakiego się uczyłem. Pidgin english posługuje się większość Papuasów, także klerycy. Ci ostatni mają wprawdzie oficjalny nakaz używania języka angielskiego, by władać nim biegle, ale cóż, skoro miałem wśród nich wielu nauczycieli, bo język ten to, oprócz narzecza plemiennego, bliższy im kod porozumiewania się niż język angielski. Pidgin english zbudowany jest na bazie języka angielskiego, jednak bez poznania jego struktury i słownictwa, nawet znając angielski, prawie nic nie można zrozumieć. Powstał pod koniec XIX wieku jako sztuczny język, którym miejscowi porozumiewali się z anglojęzycznymi pracodawcami. Obecnie ciągle się rozwija, stanowiąc podstawę komunikacji pomiędzy mieszkańcami PNG mówiącymi ok. 800 różnymi narzeczami plemiennymi. Pidgin english jest obecny nawet w radiu i prasie, a dla niektórych dzieci urodzonych w mieście stał się już językiem ojczystym.

Do struktury mojego dnia weszły także niemal codzienne rozmowy z księżmi pracującymi w seminarium, szczególnie z ks. Johnem Bosco pochodzącym z okolic Kimbe na wyspie West New Britain, jak również z klerykami. Te wspólne posiłki i spacerowały pozwoliły mi nieco

wniknąć w klimat i problemy miejsca mojej, daj Boże, przyszłej pracy. Udało mi się także spotkać i porozmawiać z osobami odpowiedzialnymi za formację kleryków: z nowym nuncjuszem apostolskim, z kilkoma arcybiskupami i biskupami oraz zarządem CTI (*Catholic Theological Institute*), w którym naukę teologii i innych przedmiotów pobierają zarówno klerycy diecezjalni, jak i rekrutujący się z okolicznych domów zakonnych i zgromadzeniowych, a także osoby świeckie, w sumie ok. 120 osób. Wyrażali oni chęć współpracy, pomocy i rady w doskonaleniu życia i pracy seminarium międzydiecezjalnego. Spotkałem także pewnego polskiego księdza werbistę, o którym mówią, że zna tu wszystkich i wszyscy go znają. Jest misjonarzem w PNG od 32 lat, a od 23 pracuje w ogólnokrajowej telewizji, przygotowując coniedzielny godzinny program religijny. Jakież było nasze obopólne zaskoczenie, kiedy odkryliśmy, że, będąc dyrektorem w „Radosnej Nowinie” w Piekarach, przez kilka lat współpracowałem z jego świętej pamięci bratem, dyrektorem gimnazjum w pobliskich Liszkach. Ten doświadczony misjonarz był mi bardzo życzliwy i pomocny we wchodzeniu w realia Papui Nowej Gwinei.

Powoli kończył się okres ważności mojej wizy turystycznej i tym samym mój pierwszy dwumiesięczny pobyt w Papui. Miałem już wykupiony bilet powrotny do Polski (jako warunek wydania wizy turystycznej), więc wróciłem. Moje oczekiwanie na wizę pracowniczą wpisało się w charakter Adwentu – uczyłem się cierpliwości. Miało być 15 dni roboczych, a tu mija już półtora miesiąca i nic. Pocięszam się myślać, że moi koledzy czekali nieco dłużej, bo półtora, i dwa, i pół roku⁵. Co robię w Polsce? Wykorzystuję dany mi czas na przygotowanie się do nowego roku akademickiego, opracowuję statut dla seminarium, koresponduję z biskupami diecezji, z których pochodzą klerycy. Zostaje jeszcze, a może przede wszystkim, ćwiczenie się w cierpliwości i... modlitwa, by z pomocą Ducha Świętego podołać nowemu wyzwaniu.

Ks. Jacek Tendej CM

Handzlówka – Piekary, 7 grudnia 2013 r.

⁵ W chwili pisania artykułu nie miałem pojęcia, kiedy ponownie stanę na papuaskiej ziemi. Wizę otrzymałem dopiero 13 grudnia, a bilet udało się zarezerwować na 7 stycznia (w okresie okołoświątecznym ceny biletów lotniczych były 3-4-krotnie wyższe niż normalnie).

PROJEKT M3

„Jest taka szkoła, którą wybraliśmy spośród wielu, aby uczynić z niej prawdziwą szkołę i stworzyć miejsce, w którym dzieci oprócz wiedzy dostaną coś więcej... start na Madagaskarze jest dużo trudniejszy niż w Polsce. Podczas gdy my walczymy o sześciolatki, programy i podręczniki tam dzieci nie mają szans na jakąkolwiek edukację...”



Projekt M3 to inicjatywa polskiej młodzieży, która realizując charyzmat św. Wincentego a Paulo chce pomagać na Madagaskarze. Założeniem projektu jest bezinteresowna pomoc drugiemu człowiekowi wyrażona w edukacji, ewangelizacji i wsparciu materialnym.

Kim jesteśmy? Młodymi ludźmi, którzy mają potrzebę niesienia dobra na drugim końcu świata. Chcemy świadectwem naszego życia pokazać, że można coś w świecie zmienić na lepsze. Nie potrzeba wiele!

Dlaczego Madagaskar? Bo jest to jeden z najbiedniejszych krajów świata. Madagaskar czaruje swoim pięknem, ale zobowiązuje do tego aby przychodzić z pomocą. Kto raz tam pojechał i poznał tamto życie nie może pozostać obojętny na los Malagaszy.

Do kogo jedziemy? W szczególności do tych, którzy ze względu na swój wiek niewiele mogą zmienić – do dzieci. To one są przyszłością i to one będą budować swój kraj. Edukacja jest dla nich szansą na lepsze jutro.

Co zamierzamy? Edukować, remontować, pomagać, pokazywać, rozmawiać, przytulać i przede wszystkim kochać. Chcesz nam pomóc? Interesuje Cię nasza akcja? Chcesz wiedzieć więcej? Nie bój się! Pisz do nas! **projekt.mada@gmail.com**

Jeżeli chcesz wesprzeć nasz projekt finansowo prosimy o wpłaty na numer konta podany poniżej. Każda złotówka, dosłownie złotówka, jest mile widziana i czyni dużo dobrego! nie musisz być bogaty, aby komuś pomóc, wystarczy, że wyślesz nam choć jedną złotówkę.

**SEKRETARIAT MISYJNY ZGROMADZENIA
KSIĘŻY MISJONARZY
ul. Stradomska 4, 31-058 Kraków
BANK PEKAO S.A. nr 31 1240 4533 1111 0000 5433 2487**

W tytule przelewu prosimy wpisywać **PROJEKT M3**
Wszystkim ofiarodawcom z góry dziękujemy!

PS. Polska edycja Projektu M3 właśnie dobiegła końca. Wolontariusze krakowscy i bydgoscy studenci: Olga Figiel, Maria Tirak, Emilia Klimasara, Adam Godlewski i ks. Adam Sejbuk, spędzili trzy miesiące na Madagaskarze, by pomagać tam nie tylko w szpitalach, szkołach i leprozoriach, ale również po to, by świadectwem swojego życia głosić Ewangelię na drugiej półkuli.



Przygotowania do wyjazdu były bardzo skrupulatne. Obejmowały nie tylko formację duchową, ale również naukę języka francuskiego, malgaskiego, zaawansowany kurs pierwszej pomocy, czy metodykę pracy z dziećmi. Cały miniony rok był czasem, kiedy uczestnicy Projektu M3 pozyskiwali także fundusze na rzecz działań wolontarystycznych. Przeprowadzali zbiórki, nawiązywali współpracę z firmami i organizacjami, które objęły patronat nad projektem. Do zadań wolontariuszy należało również przeprowadzanie w szkołach spotkań poszerzających świadomość misyjną młodzieży, a także zachęcanie

do czynnego włączania się w życie społeczne i wolontariat.

Poniżej publikujemy galerię z misyjnej wyprawy wolontariuszy Projektu M3 na Madagaskar. Szerzej o tym wspaniałym dziele napiszemy w następnym numerze „Wiadomości Misyjnych”.



M3: MŁODZI – MISJE –MADAGASKAR





M3: MŁODZI – MISJE –MADAGASKAR



DARCZYŃCY WSPIERAJĄCY DZIEŁA MISYJNE ZGROMADZENIA MISJONARZY

„Wiadomości Misyjne” docierają zarówno do wszystkich Przyjaciół Misji jak i również do samych misjonarzy i ich Rodzin. Pragniemy, aby za pośrednictwem naszego pisma misjonarze poznali nazwiska tych, którzy wspierają ich swoimi ofiarami i dzięki temu mogli wyrazić swoją wdzięczność, o której nieustannie zapewniamy, poprzez modlitwę w intencji konkretnych osób.

Agnieszka i Bartek Gajewscy; Alfred Pilarz, Żywiec; Andrzej Dobras, Topola Osiedle; Anna Donner, Warszawa; Anna Wronczewska, Bydgoszcz; AST Waryan, Niepołomice; Barbara Boroń, Kraków; Barbara Smolińska-Kaminiarz, Wrocław; Bożena Klatecka, Krzeszowice; Bronisława Żmujdzin, Bydgoszcz; Dariusz Budz, Groń; Dorota Iskra, Kraków; Eugenia i Czesław Borowiec, Pabianice; Ewa Filippoto Turkowska, Warszawa; Ewa Szmytkowska, Sopot; Ewa Wypych, Pabianice; Grzegorz Straszewski, Bydgoszcz; Halina Godek, Kraków; Halina Kubanek, Sopot; Helena Mikołajek, Tarnów; Jan Mizera, Wierzbno; Jan Rybka Zabawski, Zakopane; Jerzy Idzi, Sieraków k/Dobczyc; Joanna Nowina Rer, Pabianice; Joanna Żurawska, Dambonia k/ Opola; Katarzyna Brdej, Limanowa; Katarzyna Gawda, Częstochowa; Katarzyna Uroda, Kraków; Koło Misyjne, Szkoła Podstawowa nr 2, Myślenice; Krystyna Łapczuk, Żmigród; Krystyna Misterek, Bydgoszcz; Krystyna Szlichta Stelmach, Tarnów; Krystyna Wąchała, Sopot; Krystyna Wituch, Warszawa; Krzysztof Grzyb, Sosnowiec; Krzysztof Podgórski, Kraków; Krzysztof Sajdak; ks. Bronisław Tomczyk CM; ks. Kazimierz Piwowarczyk CM; ks. Wojciech Paluchowski; Leokadia Krac, Pabianice; Lidia Popek, Bydgoszcz; Łukasz Młynarski, Nowa Sarzyna; Magdalena Lasoń, Wrocław; Marcin Pluta, Pabianice; Marianna Dobosz, Sulejówek; Michał Nowotarski, Kraków; Michał Więckowski, Warszawa; Mieczysław Bednarski, Żmigród; Miłosz i Katarzyna Hendzel; Monika Nowaczyńska, Kościan; Parafia św. Krzyża, Warszawa; Piotr Gdula, Kraków; Radosław Jagódka, Nowa Wieś mała k/ Grodkowa; Ryszard Jabłoński, Bielsko Biała; s. Iwona, Brwinów; Seweryn Wrona, Kraków; Siostry Miłosierdzia, Chelmino; Sławomir Gustaw, Niepołomice; Sławomir Lazar, Rogów; Sławomir Szczepański, Janów; Stanisława Ulatowska, Skwierzyna; Stowarzyszenie Miłosierdzia św. Wincentego a Paulo, parafia św. Krzyża w Warszawie; Szymon Dobras, Topola Osiedle; Szymon Szłósarczyk, Brzączowice; Tadeusz Dziok, Jarosław; Tadeusz Urynowicz, Kraków; Teresa Pufelska, Bydgoszcz; Teresa Witusik Skubiszewska, Pabianice; Urszula Kozłowska, Bydgoszcz; Wirginia Podgórska, Opole; Wspólnota Przyjaciół Misji, Jędrzejów p. Jakubów; Zenon i Eugenia Schreiber, Bydgoszcz.

BUDUJEMY STUDNIĘ, ŹRÓDŁO WODY I POKOJU, W GNANHOUN (BENIN)

List ks. Stanisława Deszcza, skierowany do uczestników 6 Laboratorium Wincentyńskiego, zorganizowanego w dniach 10-12 października 2014 r. w Domu Prowincjalnym Sióstr Miłosierdzia na Tamce w Warszawie

Biro, 7.10.2014 r.

Drodzy Przyjaciele Misji,

Łaska Pana naszego Jezusa Chrystusa niech będzie zawsze z nami.

Bardzo serdecznie pozdrawiam organizatorów i uczestników Laboratorium Wincentyńskiego, w którym miałem zaszczyt kilka lat temu uczestniczyć. Pozdrawiam gorąco, tak gorąco jak gorąco świeci słońce w Beninie. Kiedyś Ksiądz Kazimierz wyraził gotowość zainteresowania uczestników Laboratorium konkretnym problemem misyjnym i nawet zasugerował, że chciałby, aby był to problem dotyczący wody np. kopanie studni. Zachęcony jego ponownym zapewnieniem, że zainteresowanie nie wygasło zwracam się z prośbą o wsparcie realizacji projektu, który dotyczy jednocześnie problemu wody, ale także relacji pomiędzy wyznawcami różnych religii.

Nasza misja obejmuje 17 wspólnot chrześcijańskich. Chrześcijanie stanowią tutaj 20% ludności. Drugie 20% to muzułmanie. Pozostali to



wyznawcy religii tradycyjnych. Czyli w jednej miejscowości żyją, pracują, spotykają się codziennie wyznawcy co najmniej trzech religii. Na naszym terenie pora sucha trwa sześć miesięcy. W trzecim/czwartym miesiącu pory suchej pojawia się problem braku wody. Bydło trzeba przemieścić nawet do 200 km dalej, gdzie jest woda. Część studni, które dostarczają wody w porze deszczowej, w porze suchej wysycha.

Wioska Gnanhoun to jedna z miejscowości, w której mamy dość liczną wspólnotę chrześcijan (ok. 200 osób). Prężnie działają w niej trzy wspólnoty podstawowe, modlitwa odbywa się regularnie, pomaga się najuboższym. Można powiedzieć młoda wspólnota chrześcijan, która rozumie, czym jest Kościół. W tej wiosce jest kilka studni wybudowanych przez muzułmanów (muzułmanie są wspierani finansowo przez bogate kraje arabskie). Muzułmanie bardzo niechętnie widzą wyznawców innych religijnych czerpiących wodę ze studni, które uważają za swoje. Bywa, że wręcz zabraniają. Nasi chrześcijanie zwrócili się do nas o pomoc w wykopaniu studni, która byłaby dla wszystkich. Chcą ją wybudować jako chrześcijanie, ale z dostępem bez ograniczeń dla wszystkich. Spodobała nam się idea i takie właśnie podejście. Widzimy w tym konkretną akcję na rzecz rzeczywistego dialogu międzyreligijnego i przykład dla innych. Chcielibyśmy bardzo wesprzeć ten projekt. Bardzo też jesteśmy ciekawi owoców tego przedsięwzięcia. Przykłady pociągają, a tutaj ludzie znają się w promieniu wielu kilometrów.

Nasza prośba to wsparcie finansowe tego przedsięwzięcia. Ci, którzy są gotowi realizować projekt nie są w stanie sfinansować prac na głębokości, które wymagają pewnych kwalifikacji oraz zakupu betonowych kręgów dla zabezpieczenia wykopu. Studnie tutaj trzeba kopać na 12-14 metrów głęboką. Realizacja miałaby dwa etapy. Pierwszy etap wykopanie studni i zabezpieczenie betonowymi kręgami. Drugi, jeżeli w sezonie suchym studnia nie wyschnie, co będzie znakiem, że znaleźliśmy źródło wody, zamknięcie studni i zamontowanie pompy. Na realizację pierwszego etapu potrzebowalibyśmy pomoc w wysokości 800 euro. Jeżeli nasza prośba wzbudzi zainteresowanie, z góry bardzo serdecznie dziękuję za wsparcie. Jeszcze raz bardzo serdecznie pozdrawiam i życzę owocnych obrad w czasie tegorocznego Laboratorium. Szczęść Boże.

Ks. Stanisław Deszcz CM



**Nasza odpowiedź:
Nowa wyobraźnia i odwaga miłosierdzia!
Nowy zapal misyjny!**

Niech ta studnia, tworzona nową wyobraźnią miłosierdzia i zapalem misyjnym, mówi o naszej twórczej wierności charyzmatowi Świętych Założycieli. Budując ją, budujemy fundamenty ładu społecznego wieloreligijnej społeczności i kładziemy znak pokoju i nadziei na ziemi Beninu, gdzie ewangelizują nasi bracia i siostry z Rodziny Wincentyńskiej.

Bądźmy odważni miłosierdziem i solidarnością, hojni wspinałomyślnym darem naszych serc. Mój dar w darze ludzi dobrej woli może zmienić trudną sytuację w wspólnoty naszych braci i siostr w Gnanhoun i przynieść dar pokoju Kościołowi w Beninie. Razem, we wspólnocie Rodziny Wincentyńskiej i ludzi dobrej woli, możemy zbudować tę studnię, źródło wody i pokoju.

Jak wspomniał ks. Stanisław, pierwszy etap drażenia studni to kwota ok. 800 euro; całość projektu zamknie się w 3-4 tysiącach euro. Bądźcie apostołami, dobrymi aniołami naszej inicjatywy!

Dar serca przesyłamy na konto:
Sekretariat Misyjny Zgromadzenia Księża Misjonarzy
ul. Stradomska 4
31-058 Kraków
z dopiskiem: studnia
Numer konta: 31 1240 4533 1111 0000 5433 2487

Informacje o realizacji projektu będą zamieszczane na stronach internetowych Rodziny Wincentyńskiej. Jeżeli chcesz być informowany osobiście o stanie projektu, napisz o tym i prześlij na adres Sekretariatu Misyjnego Zgromadzenia Księża Misjonarzy swój adres lub e-mail.



YEESU, NA NUN NAANE SĀA